HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I STYCZEŃ 1946 NR 1



SUISSE SZWAJCARIA SCHWEIZ

POLOGNE 1919 – 1939

Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne w języku francuskim, obrazujące całokształt dorobku Polski w okresie 20-lecia

Całość Wydawnictwa obejmuje 3 tomy o objętości 500—700 stron każdy przy współpracy z górą 100 autorów

I. ŻYCIE POLITYCZNE I SPOŁECZNE

Historia — Prawo — Polityka społeczna — Zagadnienia mniejszościowe i wyznaniowe — Polacy za granicą — Wojsko.

II. ŻYCIE GOSPODARCZE

Opis geograficzny i demograficzny — Surowce — Rolnictwo — Przemysł — Handel — Inwestycje publiczne — Finanse.

III. ŻYCIE KULTURALNE

Literatura — Szkolnictwo — Nauka — Sztuka — Inne aspekty życia kulturalnego.

Nakładem Domu Wydawniczego

LA BACONNIÈRE

Boudry (Neuchâtel) Szwajcaria

SPIS TREŚCI

Okładka kompozycji Jerzego Godyńskiego

Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247

HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I STYCZEŃ 1946 NR 1

Przystępując do wydawania polskiego miesięcznika, poświęconego zagadnieniom kultury, zdajemy sobie sprawę z trudności, piętrzących się przed nami w obecnych warunkach. Nie są to przeszkody natury materialnej. A jeśli są — maleją do czegoś niepozornego i nieistotnego wobec zagadnień natury duchowej.

Trudną bowiem dzisiaj rzeczą jest powiązać ze sobą elementy tradycji i nowości — zwłaszcza kiedy występuje ona w tak mgławicowej i nieuchwytnej szacie, w jakiej można ją teraz zaledwie wyczuwać i odgadywać. Łatwo jest w naszych czasach wejść na drogę oportunizmu, na drogę jakiegoś nieudolnego potrącania o przebrzmiałe struny — lub ich gwałtownego strojenia tak, aby zabrzmiały nowymi, niesłyszanymi akordami... bądź dysonansami.

W najbardziej jednak przełomowych chwilach każdej teraźniejszości dysponuje człowiek wewnętrznymi wskazaniami. Dla nas istnieją one dzisiaj w wyraźnej postaci. Jednym z nich — to nasza chrześcijańska kultura polska i nasze związanie się na jej podłożu z Zachodem Europy. Drugim wskazaniem jest głębokie przekonanie, że zarówno ogrom ofiar poniesionych przez nas w walce o wolność Europy, jak i tragiczna sytuacja naszego narodu wymagają podniesienia polskości na te wyżyny, z których oglądane sprawy polityczne wydają się być czymś mniej ważnym, bodaj że aż nieistotnym.

I dlatego będziemy szukali rozwiązań nie w programowych wypowiedziach politycznych. Uważamy bowiem, że programy polityczne nie mogą dyktować dróg rozwojowych kulturze ludzkiej. Są one przecież pewną tylko emanacją tej kultury. A jeśli uzyskują nad nią chwilową przewagę — jest to anomalią, paczącą naturalne prawa rozwoju człowieka.

Chodzi nam wreszcie o dotarcie do ogółu polskiego, pozbawionego w dzisiejszych warunkach bytowania słowa pisanego, o stworzenie dlań horyzontów myślowych. Nie w rozumieniu zerwania z tym, co było — lecz w sensie powrotu do spraw i zagadnień, które długoletni prymitywizm tułaczego życia przywalił ciężkim głazem niedoli i nieszczęścia.

Nie zasklepiając się w wyłączności poruszania tylko tego, co polskie — szukać będziemy porozumienia z przedstawicielami życia kulturalnego innych narodów, dopuszczając ich na łamach miesięcznika do głosu, stwarzając w miarę możności podwaliny wzajemnego poznania i porozumienia.

Taką będzie droga, po której chcemy iść.

CHARLES JOURNET

DUCH POLSKI[1]

Dies venit, dies tua,
in qua reflorent omnia...

Poniższe tłumaczenie, które drukujemy za zgodą autora, rzuca interesujące światło na opinię w sprawach polskich ks. Journet'a, jednego z wybitnych znawców katolicyzmu i wielkiego przyjaciela Polski, zorientowanego w nieprzeciętnej mierze w polskiej kulturze i literaturze. Ks. Charles Journet jest profesorem Grand Seminaire we Fryburgu (Szwajcaria). W życiu umysłowym swego kraju zajmuje ważną pozycję jako autor licznych publikacyj, poruszających wnikliwie problemy współczesnego życia, oraz jako redaktor kwartalnika „Nova et vetera". Ostatnio ukazała się jego książka pt. „Exigences chretiennes en politique", Paryż 1945, zawierająca zbiór artykułów, napisanych w ostatnich latach. M. in. znajdujemy w niej sporo ustępów, poświęconych zagadnieniom polskim.

Przyp. red.

1. Los narodu polskiego

„Krew niezliczonych ludzi, nie biorących nawet udziału w walce, woła rozdzierającym krzykiem bólu — zwłaszcza jeśli chodzi o umiłowany naród, Polskę, która przez swoją wierność Kościołowi, przez swe zasługi w dziele obrony chrześcijańskiej cywilizacji, zapisane niezatartymi zgłoskami na kartach historii, ma prawo do ludzkiej i braterskiej sympatii całego świata. Ufna w skuteczne orędownictwo Marii, *Auxilium Christianorum*, czeka godziny zmartwychwstania zgodnego z zasadami sprawiedliwości i pokoju"[2]). Do tego głosu papieża, odwołującego się do humanitaryzmu i braterskiej sympatii całego świata dla Polski, do tego umiarkowanego, a jednak płomiennego i wielkodusznego protestu przeciw niesprawiedliwości, który zostanie zapisany płonącymi zgłoskami u początku historii obecnej wojny — dołączył się spontaniczny, szlachetny poryw, z jakim mały naród szwajcarski od pierwszych dni wojny otworzył swoje serce wiadomościom o tragicznych przeżyciach Polski, zaledwie wczoraj powstałej z grobu, a dzisiaj w sposób wyrafinowany i dziki ciemiężonej. Wieści te wystarczyły, aby zwrócić nasze refleksje ku narodowi, który zdumiewa rozmiarem i głębią swych nieszczęść.

„Wszystko co prawdziwe, co godne czci, wszystko co słuszne — winno zajmować wasze myśli" — pisze św. Paweł apostoł. Pius XII troszczy się niewątpliwie przede wszystkim o Kościół, który żyje i cierpi w Polsce, o tę część Kościoła powszechnego, która jest ukrzyżowana na ziemi polskiej — o skupienie tych jego członków, dzięki którym uciskani Polacy są jego owieczkami i podnoszą znaczenie Królestwa Bożego. Troszczy się on także jednak w miarę, jak Polska poddaje się promieniom, którymi chrystianizm usiłuje naświetlić porządek świata, a jeszcze ogólniej — w miarę jak domaga się ona obrony w imię zasad międzynarodowej sprawiedliwości i humanitaryzmu, o doczesne życie Polski, o kulturalne przeznaczenie tego wielkiego narodu — słowem o działalność jej w obronie cywilizacji chrześcijańskiej.

Temu duchowi kultury polskiej próbujmy złożyć hołd.

[1]) Pisane na Wielkanoc 1940 r. — przerobione.
[2]) Encyklika *Summi Pontificatus*, 20 paźdz. 1939 r.

2. Duch kultury polskiej

Trzebaby na tym miejscu — co jednak poszerzyłoby zbytnio zakres niniejszej pracy — przedstawić historyczny obraz losów Polski, opisać wielkość i upadki jej przeszłości, uwypuklić jej rolę w dziedzinie rozwoju nauk fizycznych i przyrodniczych, humanistycznych, w sztuce, w różnych dziedzinach teologii — mówiąc ogólnie w dziele rozbudowy i obrony średniowiecznego chrześcijaństwa. Należałoby dalej przypomnieć czasy katastrofy i rozbiorów, spowodowanych przez politykę, która nie wahała się odrzucić względy moralne jako politycznie szkodliwe i która — według znanego powiedzenia — pogrążyła całą Europę „w stan śmiertelnego grzechu". Dzisiaj jesteśmy świadkami czwartego rozbioru, który pchnął dwa narody do podobnej zbrodni. Inne jednak narody powstały przeciw nim, chwyciły za broń, zasługując sobie tym na chwałę. Należałoby wreszcie śledzić zabiegi Polski po jej ponownym odrodzeniu się oraz jej wysiłki w dziele odbudowy — wysiłki niepozbawione bez wątpienia błędów, nacechowane w pewnych okolicznościach politycznymi tendencjami, które oscylując między dwiema krańcowościami bolszewizmu i rasizmu nie umiały niestety *zawsze* dość heroicznie, z dostateczną dozą proroczej inteligencji, przeciwstawić podwójne *nie*, aby utorować sobie ponad nimi drogę, wiodącą ku swobodzie, drogę polityki chrześcijańskiej, silnej i jedynej. Mimo to jednak polityka ta w jej całokształcie nie traci na znaczeniu, jest wzruszająca, zdrowa i zasługuje na podziw.

Trzebaby dalej zdać sobie jeszcze sprawę ze współczesnych wydarzeń, a więc mówić o Polsce niesłusznie napadniętej, wydanej na łup wojny totalnej i równocześnie prawie ugodzonej śmiertelnie w plecy — o jej miastach, grabionych i podpalanych, o napadach na pociągi uchodźców, o samolotach pokrywających niebo i strzelających z karabinów maszynowych do chłopów na polach, o uciekającej ludności na drogach. Trzebaby sobie uprzytomnić być może jeszcze większe okropności okupacji, deportacji, akty rozboju, okrucieństwa, sadyzmu, masowe rozstrzeliwania ludności cywilnej, zamykanie jej w obozach koncentracyjnych, gdzie staje się ona ofiarą brutalności, zimna i głodu. Nie można dalej zapominać o kłamstwie, denuncjacji i terorze, które ciemiężą ducha tego narodu.

Trzeba by przede wszystkim, uciekając się do proroczej intuicji jej poetów, odsłonić ukryty dynamizm, tajemnicę narodu polskiego, wykazać namacalnie jego hart, wspaniałe możliwości polskiej duszy doczesnej — tej duszy słowiańskiej, przenikniętej pięknymi promieniami chrześcijaństwa, karmionej od wieków cierpieniami w różnej postaci. Duszy, która jednak nigdy nie straciła nadziei i nie zasklepiła się egoistycznie w samej sobie — a przeciwnie otwarta była dla świata. Jakże bowiem Polska, t. zn. *Pole (Polana)*, mogła być kiedykolwiek zamknięta w samej sobie, jakże cierpienia Wschodu i Zachodu nie miały nią wstrząsać — czasem radośnie, najczęściej jednak w sposób bolesny? Przedstawienie ducha kultury polskiej zaskoczyłoby może czytelnika, odkrywając mu u pisarzy polskich wielką ilość głębokich idei z tych rozległych dziedzin, które się powszechnie przyznaje pisarzom rosyjskim, idei nieraz słusznych, nieraz nawet mylnych, ale — i to czyni je dziwnie fascynującymi — w których Bóg nigdy nie jest naprawdę nieobecny.

Bo jeśli jest on nieobecny, to wynika to z jakiegoś straszliwego braku, okrutnej straty, która działała w sposób odwrotny. Stąd też mógł Mickiewicz

słusznie twierdzić, że Słowianie mają magiczną zdolność i dziwny przywilej zwracania dusz ku Bogu, do skłaniania świata w kierunku adoracji, lub bluźnierstwa. Definicję narodu przez Sołowiewa, jego oczekiwanie powszechnej wojny, która będzie zakończeniem wszystkich dotychczasowych wojen i przygotuje powszechny pokój, znajdujemy już u Mickiewicza.

Idea narodu, obarczonego misją, wznoszącego się ponad porządek polityczny dla ustanowienia czegoś w rodzaju królestwa Bożego, daje się bez trudu odkryć w pewnych ustępach Krasińskiego i Mickiewicza, przed znalezieniem jej transpozycji u Dostojewskiego. Podobnie ma się rzecz z nadziejami milenarystów i oczekiwaniem „transfiguracji" naszej epoki. Pankracy z „*Nie-boskiej Komedii*" antycypuje postać Wielkiego Inkwizytora Dostojewskiego i „*Człowieka który nadchodzi*" Sołowiewa. Pomysł, który cechuje wielka ekspresja dramatyczna, a który przedstawia Ducha zła, podszywającego się pod postać Ducha dobra, Antychrysta pod postać Chrystusa, do tego stopnia udały, że czytelnik waha się w swej ocenie, został wprowadzony na scenę przez Wyspiańskiego — zanim użył go Mereżkowski. Koncepcja dzieła zniszczenia, które przedstawia się nieraz jako dzieło święte, co Mickiewicz wyraża z taką siłą w zakończeniu „*Reduty Ordona*", jest tą samą myślą, którą Generał w „*Trzech rozmowach*" Sołowiewa uwydatnia w swym opowiadaniu. Czy trzeba mówić o tym, że cały Wschód słowiański jest już w Polsce? Tak — jeśli się natychmiast doda, że jest w niej również i cały Zachód. Bo właśnie to zmieszanie oryginalne dwóch bogactw kulturalnych stanowi tajemnicę i urok duszy polskiej. I wcale nie jest trudno ją poznać od czasu, gdy dała się ona ująć w czar melodyj Szopena, i od czasu, gdy wielcy wygnańcy romantyczni utkali dla niej cudowną szatę poezji, gdy w okresie rozbiorów odnalazła ona nagle jakby siebie samą *oducieleśnioną* (desincarnée)[1]).

3. Okres eksterminacji

Głosić w tej chwili wielkość i geniusz Polski — to znaczy oczywiście protestować tym samym w imieniu najszlachetniejszych i najbardziej niezniszczalnych uczuć humanitaryzmu, w imieniu wreszcie samego chrystianizmu i jego wymagań w płaszczyźnie doczesności, przeciwko zarządzeniom, zapomocą których zamierza się dzisiaj pogrążyć ten naród w ciemnocie, zamknąć szkoły, sprowadzić do rzędu niewolników, zdusić jako rasę niższą, niegodną życia i wolności, i unicestwić środkami bardziej technicznymi, nie mniej jednak okrutnymi od tych, których używali ongiś wielcy zdobywcy mongolscy: Attyla, Dżingis-Chan czy Tamerlan. Zdawałoby się, że pewne sposoby eksterminacji mas ludzkich stały się odtąd niemożliwe, że stosowanie ich podniosłoby w świadomości całej ludzkości krzyk oburzenia zbyt potężny, by ktoś odważył się na ich wznowienie. A jednak pojawiły się one ponownie w formie bardziej wyrafinowanej, lecz nie mniej zabójczej. Fakty nie do obalenia świadczą w najbardziej stanowczy sposób o straszliwej prawdzie zamiarów. Ujawnił je Hermann Rauschning w swej książce „*Rozmowy z Hitlerem*":

„Mamy już zbyt dużo krwi słowiańskiej w żyłach... Kryje się w tym straszliwe niebezpieczeństwo dla narodu niemieckiego. Jest on w trakcie utraty

[1]) Z jakim darem odgadywania, z jaką braterską jasnością i miłością, utrwalił ją Musorgski w postaciach dwóch Polek w *Borysie Godunowie*.

swej oryginalności narodowej, gdy obcy naród opanowuje jego język. Narzuca nam to *obowiązek wyludnienia*, z drugiej zaś strony konieczność metodycznego kultywowania rozrastania się narodowości niemieckiej. Trzeba będzie stworzyć technikę wyludnienia. Pytacie mnie, co to znaczy wyludnianie i czy mam zamiar zniszczyć całe narody? Otóż tak! — Natura jest okrutna i my mamy prawo też być okrutni. W momencie, kiedy mam rzucić w huragan żelaza i ognia przyszłej wojny kwiat germanizmu — bez odczuwania najmniejszego żalu z powodu utraty cennej krwi, która popłynie strumieniami — któż może kwestionować mi prawo do unicestwienia milionów ludzi niższych ras, którzy mnożą się jak robactwo, a których zresztą nie każę wytępić, przeszkadzając im jedynie systematycznie w rozradzaniu się? Na przykład oddzielając na przeciąg lat mężczyzn od kobiet. Przypominacie sobie spadek krzywej urodzin podczas ostatniej wojny? Dlaczego nie mielibyśmy zrobić umyślnie i na przeciąg długich lat tego, co było niedawno nieuniknioną konsekwencją długiego konfliktu? Istnieje więcej niż jedna metoda systematycznego likwidowania narodów niepożądanych w sposób stosunkowo bezbolesny, a w każdym razie nie uciekający się do nadmiernego utoczenia krwi. Po tylu wiekach, w ciągu których mówiło się o ochronie biednych i nędzarzy, przyszedł być może moment ochrony silnych, którym zagrażają niżsi od nich. Poczynając od teraz jednym z podstawowych zadań niemieckiej polityki na dłuższą metę będzie zahamowanie wszystkimi środkami płodności Słowian. Naturalny instynkt każe żyjącej istocie nie tylko zwyciężyć swego nieprzyjaciela, ale go jeszcze unicestwić. W minionych czasach przyznawano zwycięzcy słuszne prawo likwidowania całych szczepów i plemion. My dajemy dowód humanitaryzmu, eliminując naszych wrogów stopniowo i bez rozlewu krwi. Wypada nam poprostu zgotować innym los, który by oni nam przygotowali, gdybyśmy się pozwolili zwyciężyć"[1]). Te same środki stosowane są wobec Żydów z równą, a nawet jeszcze gorszą, okrutnością.

I niewątpliwie historia dostarcza nam wstrząsających obrazów wyniszczenia całych narodów i cywilizacyj, nieraz subtelnych i zbytkownych, brutalnie unicestwianych. Chrześcijańska Afryka została zalana falą muzułmańską. Ośrodki kulturalne Iranu i Transoksjany zostały zduszone kopytami mongolskich jeźdźców. Imperium bizantyjskie zostało zwyciężone przez Turków, kultura Azteków i Inkasów zginęła pod ogniem dział i na skutek okrucieństw Hiszpanów. Nawet sam Kościół — aczkolwiek nieśmiertelny — może być zniweczony na pewien czas w rozległych środowiskach kulturalnych. Polska jest teraz pod uciskiem. Modlimy się z nią, przywołując żarliwie nad jej niebo anioły. Zamierza się ją niewątpliwie zniszczyć! Na szczęście jednakowoż czytamy w „*Soulier de Satin*" tajemniczy podtytuł: *Le pire n'est pas toujours sur!* — Najgorsze nie zawsze jest pewne[2]).

[1]) str. 158—160.

[2]) Po pięciu latach wojny, w momencie gdy armie rosyjskie, pędząc przed sobą Niemców, zbliżają się ku Warszawie, Pius XII wzywa narody do oddania Polsce miejsca, którego domagają się dla niej sprawiedliwość i postulaty honorowego pokoju. Domaga się on jednak równocześnie od Polaków, by okazali się wspaniałomyślnymi i zrezygnowali z zemsty. Dopisek autora z 28 lipca 1944.

Eugeniusz Kmicikiewicz

Udział Polaków w badaniu świata

Zarys historyczny

Obcojęzyczna literatura geograficzna i podróżnicza nie wspomina zupełnie lub też bardzo niewiele o udziale Polaków w pracach nad geograficznym badaniem świata. Dotyczy to tak sprawozdań z wypraw naukowych i podręczników czy prac z historii i geografii, jak również licznych map, które pomijają nazwiska Polaków i nie uwzględniają szlaków nierzadko przez nich poraz pierwszy przebytych. Poniższa notatka historyczna ma za zadanie zebrać ważniejsze dane dotyczące współpracy geograficznej Polaków, dane rozprószone po czasopismach specjalnych. Ma na celu nadto zwrócić uwagę na najważniejsze nazwiska uczonych-badaczy i tych podróżników, których opisy przyczyniły się do wzbogacenia naszych wiadomości geograficznych,

Już wcześnie korzystają handlarze, pielgrzymi i inni podróżnicy z dróg idących przez Polskę na Bliski Wschód. Od X wieku jeżdżą tędy kupcy żydowscy i arabscy z Hiszpanii poprzez Kalisz i Sandomierz. Do tych karawan dołączali się często Polacy, utrzymujący wówczas żywe stosunki z Bizancjum.

Lecz podróże Polaków nie ograniczały się jedynie do Bliskiego Wschodu. Gdy Wielki Chan rozszerzył swe terytorium na całą Azję i znaczną część Europy, nie tylko RUBRUK i CARPINI podążają przez południowo-wschodnią część Europy do Karakorum i innych miejsc centralnej Azji (1246, 1253), lecz także polscy podróżnicy wędrują po świecie mongolskim, a polscy wysłannicy odwiedzają władców Bagdadu, Ispahanu i samego Dżingischana.

Pierwszym znanym podróżnikiem polskim jest BENEDYKT POLAK; nie jest on wprawdzie organizatorem czy kierownikiem samodzielnej polskiej wyprawy, ale towarzyszy franciszkanowi Giovanni del CARPINO w podróży do stolicy Mongołów Karakorum (1245). Jednakże relacje Benedykta Polaka, zamieszczone jako dodatek do opisu Carpina, zostały później opublikowane i stanowiły popularną lekturę podróżniczą także w Polsce.

W nadmorskich krajach Europy zachodniej i południowej mało co wiedziano w wieku XVI o rozległych obszarach kontynentalnych Europy Wschodniej. Wiele wiadomości zebrał i szczegółowy opis Moskwy-państwa, jej produktów i mieszkańców, podał dopiero w roku 1517 jeden z najznakomitszych geografów XVI wieku Maciej z MIECHOWA: w swej pracy „Tractatus de duabus Sarmatiis“ prostuje wiele błędnych pojęć o hydrografii wschodniej Europy. Między innymi wykazuje brak gór, o których wspomina Ptolomeusz, następnie podkreśla, że rzeki Dźwina, Dniepr, Don i Wołga nie wypływają z gór, lecz posiadają swe źródła w niskich, równinnych i błotnistych rejonach jeziernych Europy wschodniej. Geografia „MIECHOWITY“, jak go popularnie nazywają, jest pierwszą przetłumaczoną na język polski (1535); początkowo bowiem publikowaną była w językach łacińskim, włoskim i niemieckim, przyczyniając się walnie do rozpowszechnienia wiedzy geograficznej o Europie wschodniej. Niemniej zasłużonym badaczem Europy wschodniej jest w tymże stuleciu także Maciej STRYJKOWSK1; przewędrował on wschodnią i południowo-wschodnią Europę, nadto europejską i azjatycką Turcję. Wydał w roku 1578 w Krakowie dzieło w j. łacińskim pt.: „Sarmatiae Europeae Descriptio“, polskie tłumaczenie nieco później (1611). Obok Stryjkowskiego podróżuje w tym czasie wielu innych Polaków (Jan Łaski, hetman Jan Tarnowski — zdobywca Obertyna — Krzysztof Pawłowski i in.). Jan Tarnowski był w północnej Afryce i południowo-wschodniej Azji, a Pawłowski zawędrował nawet do Indii Wschodnich (1596). Z wszystkich tych podróży posiadamy jednak bardzo skromne tylko wzmianki. Pierwsze obszerniejsze wiadomości o Krymie zawdzięcza Europa w tym okresie wyprawie Marcina BRONIEWSKIEGO do Tatarów w Perekopie i jego sprawozdaniu o tym w t. zw. „Descriptio Tartariae“ (1595). Wartość jego opisu geograficznego potwierdza później angielski podróżnik Clarce. Również sprawozdania polskich posłów w Turcji przynoszą wiele cennych szczegółów geograficznych o cesarstwie Ottomańskim (np. sprawozdanie Starowolskiego). Bogate sprawozdania ze swych podróży do Egiptu, Syrii i Palestyny zostawia ks. Krzysztof RADZIWIŁŁ (w j. polskim w roku 1607, w łacińskim 1601).

Najwybitniejszym jednakowoż polskim podróżnikiem i badaczem zarazem jest na początku 17 stul. misjonarz-jezuita Michał BOIM (1612—1659). Po powrocie z Chin, gdzie bawił 4 lata, publikuje dwa dzieła: jedno to opis roślinności Chin („Flora Sinensis“, Wiedeń 1656), a drugie to mapa Chin. Ponadto przygotował do druku geografię Chin; rękopis tej pracy posiada Paryskie Muzeum Hydrograficzne.

Na wzmiankę zasługuje jeszcze pochodząca z początków XVIII wieku praca księdza Tadeusza KRUSIŃSKIEGO, która jest rezultatem jego pobytu na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza w Persji („Relatio de mutationibus memorabilibus regni Persarum“, Rzym 1727).

Na tym właściwie kończy się podróżnictwo naukowe Polski przedrozbiorowej. Potęga polityczna Polski XVI i XVII wieku, jej samowystarczalność ekonomiczna, a przede wszystkim położenie nad morzem pobocznym i wreszcie rozległość terytorium, na którym dość było miejsca dla wszystkich, jest przyczyną nieobecności Polaków wśród pierwszych odkrywców i zdobywców kolonij zamorskich. I tu jednak mamy do zanotowania Krzysztofa Arciszewskiego, o którym jest mowa poniżej, organizującego na rzecz Holandii kolonie w Ameryce Południowej.

W XIX wieku, kiedy Polska nie posiada już swej niezależności państwowej, nie brak przecież Polaków, badaczy naukowych i podróżników, na żadnym z kontynentów świata. Największy udział ma Polska w badaniu Azji północnej i centralnej.

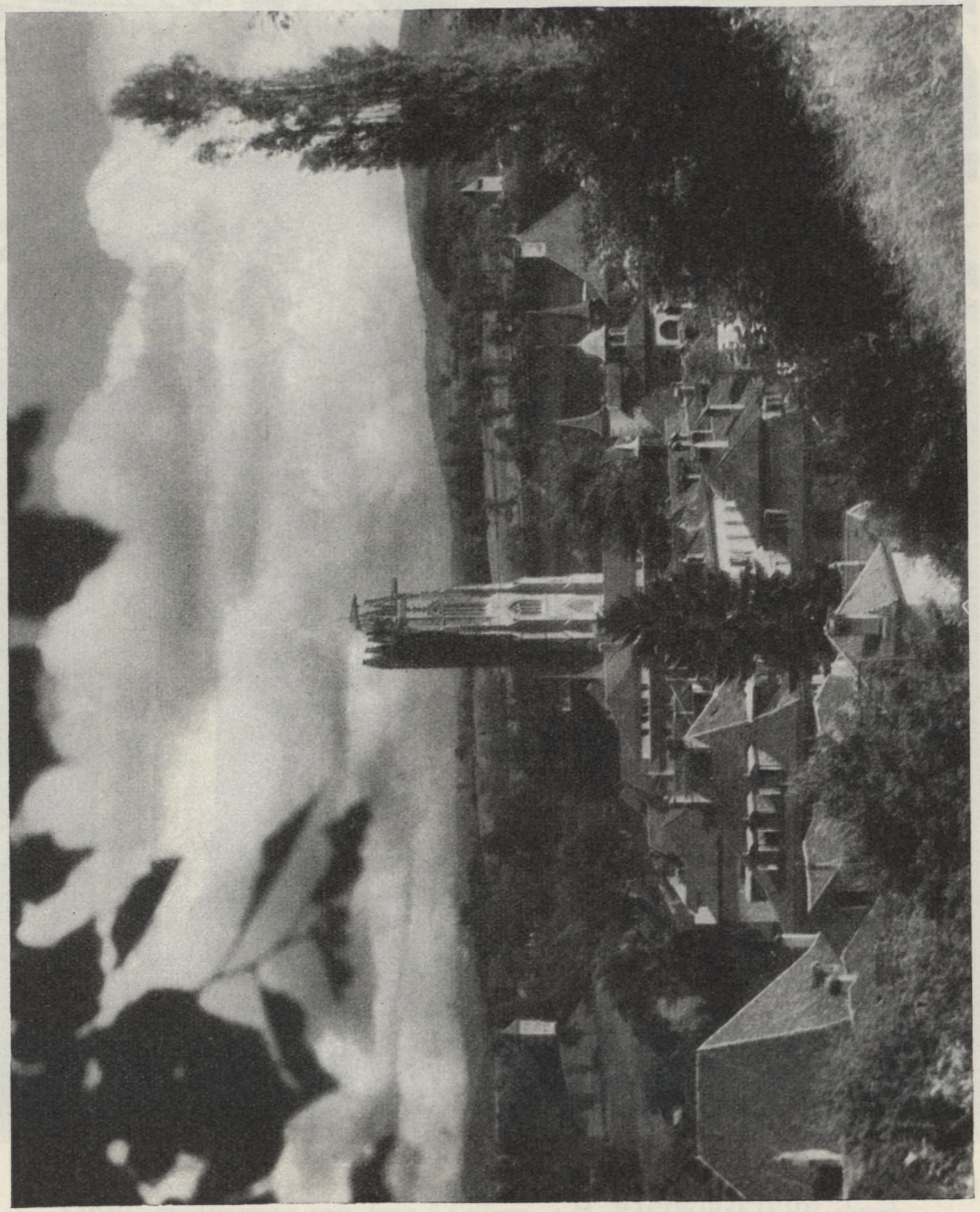
Na czoło polskich uczonych wysuwa się bezsprzecznie przyrodnik Benedykt DYBOWSKI (1878 — 82); jemu to przede wszystkim zawdzięcza nauka gruntowne prace o jeziorze Bajkalskim i okolicy (1867—76). Prowadzi on ponadto poszukiwania badawcze na Kamczatce. Geologiczne badania Syberii przeprowadził Jan CZERSKI (1871—92); jedno z pasm górskich Syberii wschodniej nosi jego imię. Jeśli już mowa o pracach geologicznych to trzeba tu wspomnieć A. E. GIEDROYCIA pracującego na terenie Transbałkalii i poza kołem polarnym oraz K. BOHDANOWICZA (studia nad wulkanicznymi formacjami Syberii) i J. MOROZEWICZA dyrektora Państw. Instytutu Geologicznego w Warszawie. Morozewicz znany jest ze szczegółowych studiów petrograficznych, które przeprowadził na wyspach Komandorskich (na północnym

Pacyfiku). Również wyprawa naukowa pod kierunkiem Emila DUNIKOWSKIEGO miała na celu geologiczne i górnicze zbadanie gór Sichta-Alin we wschodniej Azji; biorą w niej udział późniejsi znakomici uczeni polscy Eugeniusz ROMER jako topograf, Jan NOWAK jako geolog i J. TOKARSKI jako petrograf (1910 rok). Inna grupa Polaków prowadzi studia etnograficzne i lingwistyczne w Azji. Najpierw wypada nam tu wymienić wybitnego filologa J. KOWALEWSKIEGO, znawcę języków mongolskich. Jako autor pierwszej gramatyki i słownika tego języka azjatyckiego zostaje on mianowany później profesorem orientalistyki na uniwersytecie w Warszawie. Wśród pierwotnych ludów północnej Japonii, Ajnosów, spędza wiele lat etnograf Bronisław PIŁSUDSKI, brat Marszałka. Ziemie i lud Jakutów i Ajnów opisuje Wacław SIEROSZEWSKI („Dwanaście lat wśród Jakutów", „Korea" i in.). Antropolog J. TALKO-HRYNCEWICZ, późniejszy profesor uniwersytetu w Krakowie, jest autorem studiów o Buriatach. W służbie geograficznej rosyjskich zakładów naukowych strawił prawie całe swe życie gen. Bronisław GRĄBCZEWSKI, badając wyżyny Tybetu, Pamiru i grzbiety Himalajów. Opublikowane później opisy przyrody zbadanych krain i ich mieszkańców oraz mapy tych terenów („Podróże po Pamirze i we wschodnim Tybecie", 1890) zyskały mu dużą sławę w świecie naukowym. Największe jednak zasługi w badaniach centralnej Azji posiada M. PRZEWALSKI, uczony rosyjski pochodzenia polskiego. Odkrył on i zbadał w latach 1867—88 wielkie przestrzenie wnętrza Azji (Mongolia, góry Ałtyn-Tag, Tybet, źródła Hoangho, góry Kwen-Lun, jezioro Lop-Nor). Poszukiwania paleontologiczne w dolnym basenie Leny i jej dopływów przeprowadził Aleksander CZEKANOWSKI (1866—76). Mało znaną postacią, nawet w polskiej literaturze, jest D. ZAREMBA, Polak w służbie marynarki rosyjskiej; a przecież on to odkrył szereg wysp na morzu Berynga i w pobliżu Alaski (1834—36). Od niego też pochodzi pierwszy dokładny opis tego półwyspu. Również mało komu wiadomo, że jedna z wysp na oceanie Spokojnym w pobliżu Kanady nosi nazwę Zaremby (patrz „Powszechny Atlas Geograficzny" Romera, Lwów 1925). Prace triangulacyjne na terenie Kaukazu przeprowadzają L. STRUTYŃSKI i J. CHODŹKO; wyniki tego ostatniego są szczególnie cenne i interesujące (1810—78). Brak miejsca i cel niniejszego zarysu nie pozwalają wymienić ważniejszych prac owych uczonych polskich działających w Azji. Musi się jednak podkreślić, że większość ich opisów ukazała się w obcym, przeważnie rosyjskim, języku i że publikowana była przez wyższe uczelnie względnie instytuty naukowe rosyjskie (Izwiestie Geograficznego Towarzystwa, Annały Petersburskiej Akademii Naukowej). Co gorsze, duża część tych sprawozdań, rezultaty mozolnych poszukiwań naukowych, została zaliczona do rosyjskich wysiłków, wpisana na konto nauki niepolskiej. Wielu spośród wymienionych Polaków znajduje się na liście najznakomitszych reprezentantów rosyjskiej nauki. Z jednej strony wielki to zaszczyt dla polskiej wiedzy, z drugiej jednak znaczne uszczuplenie grona naszych pracowników naukowych na korzyść zaborcy.

Jeśli chodzi o nierosyjskie tereny Azji gdzie polscy uczeni nie rekrutowali się z pośród zesłańców to i tu spotykamy polskich badaczy. M. SIEDLECKIEMU zawdzięczamy opis Jawy i Cejlonu, a M. RACIBORSKIEMU charakterystykę równikowej roślinności Azji. Znaczną część swego życia spędził w południowej Azji (Indie, Jawa) ks. Władysław ZALEWSKI, w Arabii



E. Lukas. Fragment Polskiego Muzeum w Rapperswilu (Szwajcaria)



historyk i geograf ks. Władysław SZCZEPAŃSKI. Wiele wiadomości o Azji przynosi również pamiętnikarstwo wojenne (1917—19) polskich uczestników walk na terenie Azji. Znaleźć tam można ciekawą charakterystykę przebiegu i przemian stosunków gospodarczych i społecznych na terenie Azji (Goetel, Sieroszewski). Po wojnie organizuje wyprawy naukowe za granicę Ludomir SAWICKI (Francja, Włochy, Bałkany, Afryka, Syjam i półwysep Malajski). Polscy taternicy zdobywają szczyty Kaukazu (1935), a w roku 1939 są w Himalajach; ta ostatnia wyprawa kończy się śmiercią dwóch najznakomitszych taterników i uczonych. Na marginesie tych wypraw, przede wszystkim naukowych, warto tu wspomnieć i o naszych lotnikach, którzy nie pozostali w tyle poza wędrowcami pieszymi. Odbywali oni śmiałe loty długodystansowe nad Azją. Dużo zainteresowania wywołał swego czasu przelot ORLIŃSKIEGO, który poprzez Moskwę ponad Syberią lecąc dotarł do Tokio; KARPIŃSKI przebył na polskim samolocie drogę ponad krajami Bliskiego Wschodu (Warszawa-Bułgaria - Turcja - Syria - Irak - Palestyna - Egipt - Konstantynopol - Lublin). Inny znów lotnik polski dotarł drogą powietrzną do Indochin (Czarkowski-Golejewski).

Pierwszym Polakiem, który przybył do Ameryki Pd., był najprawdopodobniej Krzysztof ARCISZEWSKI „starszy nad armatą koronną", obrońca Lwowa przed wojskami Chmielnickiego. W latach 1629—39 przybija on do brzegów Brazylii na czele floty holenderskiej jako jej admirał i wódz. Bohaterskie jego czyny pod murami Pernambuco, Bahia i w innych miejscach Brazylii, gdzie zakłada kolonie na rzecz Holandii, zdobyły mu nawet u wrogów głośne imię. W okresie tzw. „gorączki emigracyjnej" wędrowali do Brazylii nie tylko wieśniacy w poszukiwaniu terenów rolniczych. Wtedy, a nawet znacznie przed tym okresem, wyjeżdżają do Ameryki Południowej również uczeni, podróżnicy, inżynierowie, wojskowi. W armii brazylijskiej służył np. jako major inżynierii Florestan ROZWADOWSKI, major polskich wojsk powstańczych, jeden z pierwszych propagatorów kolonizacji Brazylii Europejczykami; od niego to pochodzi broszura pt.: „Rząd i kolonizacja czyli rozważania o Brazylii i sprowadzaniu cudzoziemców", (Rio de Janeiro 1857). Równocześnie przeprowadza on pomiary kraju i pierwszy sporządza zdjęcia topograficzne niezbadanych dotąd puszcz i lasów dziewiczych w dorzeczu Amazonki. Inżynier Henryk BABIŃSKI opracowuje znów pierwszą mapę geologiczną Brazylii (1893). Szereg prac topograficznych na terenie Peru i Boliwii przeprowadza inż. KLUGIER, współtwórca najwyższej na świecie linii kolejowej znajdującej się w Andach (4770 m). Najbardziej jednak zasłużonym Polakiem w badaniu Ameryki Południowej jest Ignacy DOMEYKO (1834—84), przyjaciel Mickiewicza, później profesor mineralogii i geologii na uniwersytecie w Santiago (Chile). Podróżował on po Chile i krajach sąsiednich, zbadał bogactwa kopalniane tego kraju i opracował mapę geologiczną Chile. W uznaniu zasług nad zbadaniem kraju nadało Chile nazwę wielkiego Polaka miastu i górom (góra Domeyko, miasto Domeyko w Chile, p. „Powszechny Atlas Geograficzny" Romera, Lwów). W Santiago, stolicy Chile, stoi pomnik tego uczonego. Inny przyrodnik Józef WARSZEWICZ (1844—80) badał florę Chile, Peru i Kolumbii. Gdy przyrodnik Konstanty JELSKI, działający z ramienia Branickich, osiadł w Peru (1874), wysłali Braniccy do Ameryki Południowej Jana Sztolcmana, zoologa. Początkowo pod kierunkiem Jelskiego, następnie samodzielnie, prowadzi SZTOLCMAN badania w okolicy Limy i na pomorzu peruwiańskim

J. Godyński. Fryburg. Widok ogólny.

(1875—1880); w swych wyprawach naukowych przekracza Andy i dociera do górnego dorzecza Amazonki. W latach 1881—84 jest poraz drugi w Ameryce, skąd przywozi bogaty materiał opracowany naukowo, stanowiący podstawę do poznania przyrody kontynentu południowo-amerykańskiego (weszły one później w skład zbiorów Państwowego Muzeum Zoologicznego — dawniej zbiory Branickich). Dorobek naukowy Sztolcmana obejmuje prace przeważnie ornitologiczne specjalne oraz szereg popularnych artykułów z dziedziny zoologii. W tym samym mniej więcej czasie znajduje się w podróży naookoło ziemi (1888—1890), geobotanik i podróżnik Hugo ZAPAŁOWICZ, badacz flory i geologii Karpat; przewędrował on znaczną część stepowej Argentyny północnej aż do podnóży Andów, dłuższy czas poświęcając się badaniom geografii, geologii i flory Argentyny i Patagonii. Wyniki tych studiów ogłosił między innymi w dwutomowym dziele: „Jedna z podróży naokoło świata", Lwów 1899, i „Das Rio Negro Gebiet in Patagonien" (Denkschrift der math.-natur. Cl. d. Wissenschaften). W kilkadziesiąt lat później (1910—15) gości Ameryka Południowa nowego przyrodnika: jest nim Tadeusz CHROSTOWSKI, badacz fauny brazylijskiej. Pięknymi zgłoskami zapisał się w historii wiedzy brazylijskiej Józef SIEMIRADZKI, najwybitniejszy geolog Brazylii zdaniem samych brazylijczyków (wg. słownika brazylijskiego Instituto Historico, t. I, str. 907). Podczas swych trzech podróży po Ameryce Południowej (1881—1895) zwiedził i zbadał znaczną część tego kontynentu. Jego wyprawy naukowe objęły Ekwador, Paranę, góry Andy, Argentynę i Chile. Te wędrówki odkrywcze prowadziły go często do okolic nieznanych geografom miejscowym i pozwoliły wykazać liczne braki i błędy w ówczesnych mapach sztabowych argentyńskich. Szczególne znaczenie dla geografii miały jego badania podczas przemarszu południowych części stepów argentyńskich („Pampa Central") oraz przejście północnej Patagonii i Andów. Opracował geologię Martyniki, którą zwiedził podczas swej pierwszej podróży do Ameryki, a ponadto wniósł wiele zdobyczy w zakresie tektoniki Brazylii. Siemiradzki nie ogranicza się jednak tylko do problemów geologicznych i petrograficznych. Jego teza o azjatyckim pochodzeniu różnych ras południowo-amerykańskich znajduje uznanie na kongresie we Wiedniu, a opisy w „Petermanns Geographische Mitteilungen", „Geographische Zeitschrift" i innych pismach naukowych stawiają go w rzędzie najlepszych wówczas znawców Ameryki Południowej.

Po pierwszej wojnie światowej mamy do zanotowania przede wszystkim wyprawy alpinistów polskich; w latach 1933—37 bawią w Andach nasze ekipy wysokogórskie. Ich uczestnikom, znanym polskim taternikom i równocześnie młodym pracownikom naukowym, udało się przebyć mało dotąd znany grzbiet górski Ramady, zdobyć szereg niezwiedzanych szczytów, z czego 5 przekraczających 6000 metrów wysokości, a wreszcie dokonać ósmego wejścia na Aconcaguę, najwyższy szczyt obu Ameryk. Przy tej sposobności przeprowadzono liczne badania z zakresu geologii (inż. Daszyński), meteorologii (inż. Karpiński), fizjologii (dr. Dorawski) i promieniowania słonecznego (dr. Jodko-Narkiewicz). W okresie między obu wojnami światowymi zwiedza Amerykę Południową wielu podróżników-przyrodników, podróżników-literatów itp., którzy pozostawili po sobie liczną i dość cenną literaturę podróżniczą (Arkady Fiedler, przyrodnik, Bogdan Teofil Lepecki, major wojsk pol., podróżnik, organizator ruchu emigracyjnego w Ameryce Pd. i ekspert dla spraw wychodźctwa).

W okresie t. zw. „gorączki złota" zawędrował do Kalifornii jako jeden z pierwszych naukowców geolog i ekonomista dr Feliks P. WIERZBICKI (1815—60). W swej pracy pt.: „California as it is and as it may be" (1849) dowodzi, że przyszłość Kalifornii zależy nie od złota, lecz od urodzajności ziemi i znakomitego klimatu tej części Ameryki. Wspominany już poprzednio geolog polski i znany ekspert dla spraw górnictwa naftowego Emil DUNIKOWSKI zwiedził Florydę i Meksyk (1889—93), a wrażenia z tych podróży opisał między innymi w dwu książkach: „Od Atlantyku po góry Skaliste" i „Meksyk". Na północnym-zachodzie tego kontynentu przebywa Eugeniusz ROMER, który przeprowadza tam studia nad glacjologią i geomorfologią, badając lodowce Alaski. Studia o obfitych terenach naftowych Meksyku, Stanów Zjednoczonych, Wenezueli, a zwłaszcza Argentyny, pochodzą z pod pióra autora pracy „Flisz i nafta" geologa lwowskiego Rudolfa ZUBERA; są one rezultatami jego badań w charakterze eksperta naftowego w Ameryce. Piękny opis Meksyku i Środkowej Ameryki zawdzięczamy podróżnikowi W. SZYSZŁO („Meksyk, Małe Antyle i Jamajka"). Warto nadmienić, że „Listy z podróży" Sienkiewicza zawierają wspomnienia z wędrówek po tej części świata.

Kontynent afrykański, poznany w głównych zarysach do końca XVIII w., jest następnie badany we wnętrzu. Zdawać by się mogło, że „Czarna" część świata przez długie czasy była jakby na uboczu zainteresowania polskiego. Tymczasem było inaczej. Pomijając Beniowskiego, o którym parę słów nieco niżej, nie brak wśród podróżników i badaczy-naukowców różnych narodowości, zajętych pracami nad usuwaniem „białych plam" z map „Czarnego Lądu", także Polaków.

Między 1778—1805 hr. Jan POTOCKI podróżuje po Afryce północnej; ma on zresztą za sobą liczne podróże po Azji (Mała Azja, Kaukaz, centralna Azja, Chiny). Najcenniejszą jego pracą publikowaną jest „Podróż po cesarstwie Marokańskim" (Warszawa 1792); zawiera ona wiele szczegółów geograficznych, zwłaszcza z historii geografii. Nadto pozostawił Potocki wiele rękopisów i notatek. Jako jeden z pierwszych podkreśla znaczenie studiów nad historią geografii na Bliskim Wschodzie. W Afryce Zachodniej bawi Stefan ROGOZIŃSKI wraz z towarzyszami L. Janikowskim i K. Tomczakiem (1883); usiłuje on zająć Kamerun dla Polski i stworzyć tam niezależną kolonię polską, któraby mogła zastąpić wykreśloną wówczas z map politycznych ojczyznę. Przeprowadzone przy tej okazji badania przyniosły nam wiadomości o górach Kamerun. Obok Potockiego badał Afrykę północną również J. DYBOWSKI (Algerię i Saharę 1889); jest on później także w dorzeczu Kongo i dokonuje przejścia wzdłuż biegu tej wielkiej rzeki (1891—92). W badaniach nad ludem karłów murzyńskich t. zw. Pigmejów zasłużył się uczony lwowski antropolog Jan CZEKANOWSKI (1907—09). O wynikach swoich prac w tej części Afryki donosi w publikacji p. t. „Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet", (Lipsk 1917—24). We wschodniej Afryce czynni są przyrodnicy A. PISULIŃSKI i Antoni JAKUBSKI, profesor zoogeografii na uniwersytecie poznańskim. Jakubski prowadzi badania na wyżynach wschodniej Afryki i dokonuje wejścia na szczyt wulkanicznej góry Kilimandżaro (6000 m). W południowej Afryce pracuje geobotanik Antoni REHMANN (1875—79). Wynikiem tej podróży jak również badań w Kaukazie jest szereg prac względnie artykułów. Jeden z fortów

francuskich na Saharze na szlakach karawan nosi nazwę fort „Motyliński"; jest to nazwisko Polaka, oficera Legii Cudzoziemskiej. Urodził się on na ziemi afrykańskiej w kolonii francuskiej i zasłużył się później jako badacz ludów wnętrza Sahary (góry Ahaggar). Afrykę zwiedzał również H. Sienkiewicz i stamtąd pisał swe piękne „Listy z podróży", a jego powieść „W pustyni i w puszczy", zawierająca wspaniałe opisy przyrody tego lądu i charakterystykę jego mieszkańców, zawdzięcza swe powstanie podróżom jego po Afryce. Kiedy już mowa o pamiętnikarsko-powieściowych pracach podróżników nienaukowców trzeba wspomnieć w kilku słowach o M. Beniowskim, znanym z awanturniczej wyprawy na Madagaskar (1774—76, 1785—86). Przewędrował on całą Azję północną i poprzez Daleki Wschód (Kuryle, Jezo, Formoza) i ocean Indyjski dobił do Madagaskaru; ten z wyboru ludności „król Madagaskaru" kładzie podwaliny pod panowanie Francji na tej wyspie i dzięki temu zasłużył sobie na wzmiankę w dziejach pionierstwa kolonialnego (Zieliński, St.: „Słownik polskich pionierów kolonialnych"). Jakkolwiek nie należy on do grupy badaczy ani nawet do szeregu tych podróżników-nienaukowców, których opisy przyczyniły się do bliższego poznania nieznanych dotąd krajów — to jednak dorzucamy tu jego nazwisko ze względu na popularność tej postaci w historii kolonizacji, a zwłaszcza w literaturze polskiej.

Uzupełniając obraz podróżnictwa polskiego i historię badań na terenie Afryki musi się wspomnieć połk. Stanisława SKARZYŃSKIEGO, który przeleciał nad lądem Afryki 25000 km w roku 1931, a w kilka lat później startuje z Dakaru w Afryce Zachodniej do przelotu nad Atlantykiem, kończąc go pomyślnie na wybrzeżach Brazylii. W roku 1934 polscy taternicy zdobyli szereg szczytów Atlasu, a w Liberii polscy pionierzy kolonialni zakładają plantacje.

Podróżnictwo polskie dotarło również, choć dość późno, bo w ubiegłym stuleciu, do Australii. Tamże przebywali na badaniach czas dłuższy ornitolog R. MALSBURG (1885—92) i Sygurd WIŚNIOWSKI (1862—66), znany w beletrystyce podróżniczej z książki: „Dziesięć lat w Australii". Pierwsze jednakże miejsce wśród badaczy należy się Pawłowi Edmundowi STRZELECKIEMU. Odbył on podróże do Ameryki Północnej i Południowej, zwiedził Indie, żeglował po oceanie Spokojnym. W latach 1839—44 jest w Australii południowo-wschodniej i w Tasmanii. Z licznych podróży po tym kontynencie przywozi mapy nieznanych wówczas biegów rzek, prowadzi pomiary wysokości gór i jako pierwszy odkrywa w Australii złoto (1839) oraz gromadzi niezwykle dużo materiału naukowego. Swój współudział w poznaniu pierwotnego lądu Australii zadokumentował Strzelecki nazwaniem jednej z grup górskich w Alpach Australijskich mianem T. Kościuszki. Swoje spostrzeżenia naukowe o nowym lądzie opisał w pracach: „Physical description of New South Wales and Van Diemens Land" (1845) i w „Gold and silver" (1856), gdzie na podstawie dokumentów i świadectw parlamentu australijskiego udowadnia swoje pierwszeństwo w odkryciu złota na tym kontynencie. Za zasługi na polu badań geograficznych otrzymał złoty medal od Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie. Dla uczczenia pamięci tego badacza nazwano jedną z gór i jedną rzekę jego imieniem (Mt. Strzelecki i Strzelecki-creek, p. „Powsz. Atlas Geogr." Romera, Lwów 1925). Badania etnograficzne na wyspach Oceanii i w Australii prowadził Stanisław KUBARY (1869—96).

Podróże po oceanie Spokojnym odbywał Józef KORZENIOWSKI (Joseph Conrad), powieściopisarz.

Pozostaje nam jeszcze przejrzeć rejestr podróżników i badaczy krain polarnych. Czy znajdziemy tam również Polaków? W wyprawie belgijskiej do Antarktydy biorą udział: Henryk ARCTOWSKI, meteorolog i geofizyk, i Antoni DOBROWOLSKI, meteorolog (1897). Była to pierwsza wyprawa, która zimowała na ziemiach Antarktydy. Rezultatem tej podróży jest wspaniałe dzieło naukowe Dobrowolskiego p.t. „Historia naturalna lodu" (Warszawa). Na wyspie Niedźwiedziej (Björnöya) przezimowała (1932—33) grupa młodych uczonych polskich celem dokonania pomiarów i obserwacyj meteorologicznych, magnetyzmu ziemskiego i zorzy polarnej w ramach t. zw. „Roku Polarnego" (J. Lugeon: „L'Année Polaire Polonaise à l'Ile des Ours", Warszawa 1933). Pod względem położenia geograficznego stacja polska była jedną z najbardziej na północ wysuniętych. Jako współuczestnik wyprawy duńskiej, a później jako kierownik polskiej wyprawy, prowadzi na Grenlandii badania Aleksander KOSIBA (1934—37). Wyniki swych studiów terenowych ogłasza w licznych artykułach oraz w dziele p. t. „Grenlandia" (Lwów 1938). Zdjęć terenu na jednej z wysp Szpicbergenu dokonała również polska wyprawa podbiegunowa (1938).

Ten krótki przegląd badaczy polskiego pochodzenia, pracujących nad rozszerzeniem horyzontu geograficznego ludzkości, nasuwa pewne refleksje. Usługi polskich uczonych oddane nauce świata są wprawdzie mniejsze w porównaniu z wysiłkami i wynikami niezależnych i bogatszych zwłaszcza morskich narodów. Nie mogą być jednak pominięte milczeniem czy w inny sposób zlekceważone, gdyż zostały dokonane przeważnie w okresie niewoli narodu polskiego, bez poparcia ze strony własnego rządu i narodowych instytucyj, świadczą więc dobitnie o tężyźnie poszczególnych grup czy jednostek polskich, nie opuszczających bezczynnie rąk nawet w najcięższych dla kraju i nauki polskiej warunkach.

REDAKCJA

składa najserdeczniejsze życzenia

świąteczne i noworoczne

Wszystkim Czytelnikom

Konstanty Regamey

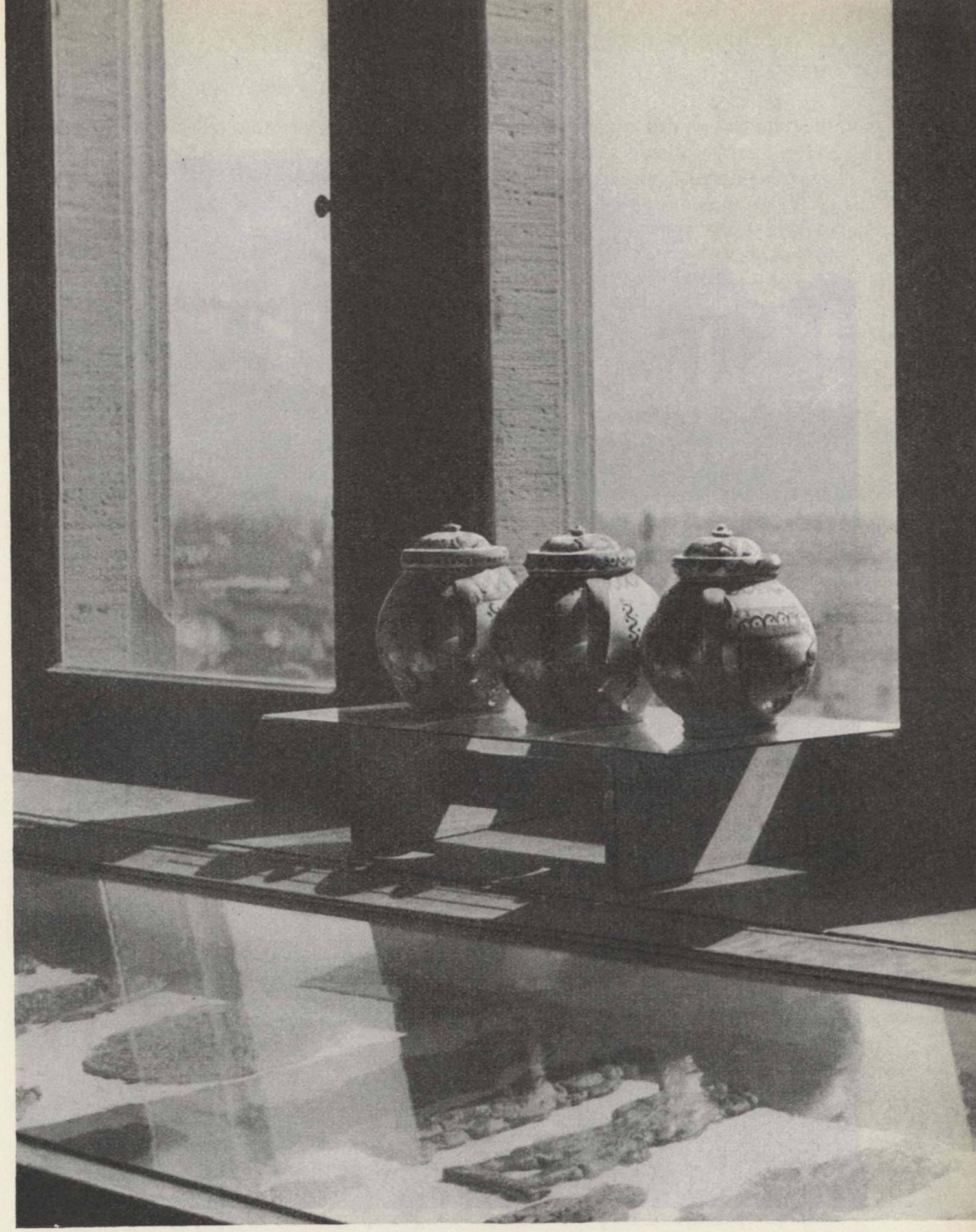
Muzyka polska pod okupacją niemiecką

Trzynastego września 1939 roku rozgłośnia warszawska nadawała koncert muzyki szopenowskiej w wykonaniu Jana EKIERA. Koncert ten, przerywany alarmami i radiowymi informacjami o nalotach, był chybą ostatnią manifestacją muzyczną w Polsce niepodległej. Odtąd muzycy i melomani walczący w oblężonej Warszawie lub wędrujący po drogach i bezdrożach tułaczki wrześniowej, nie słyszeli innej muzyki jak warkot pikujących samolotów, świst bomb i niekończącą się gamę strzałów i wybuchów. A gdy skończyła się ta niesamowita symfonia — 28 września — przejmująca cisza, która po niej nastąpiła, była ciszą niewoli.

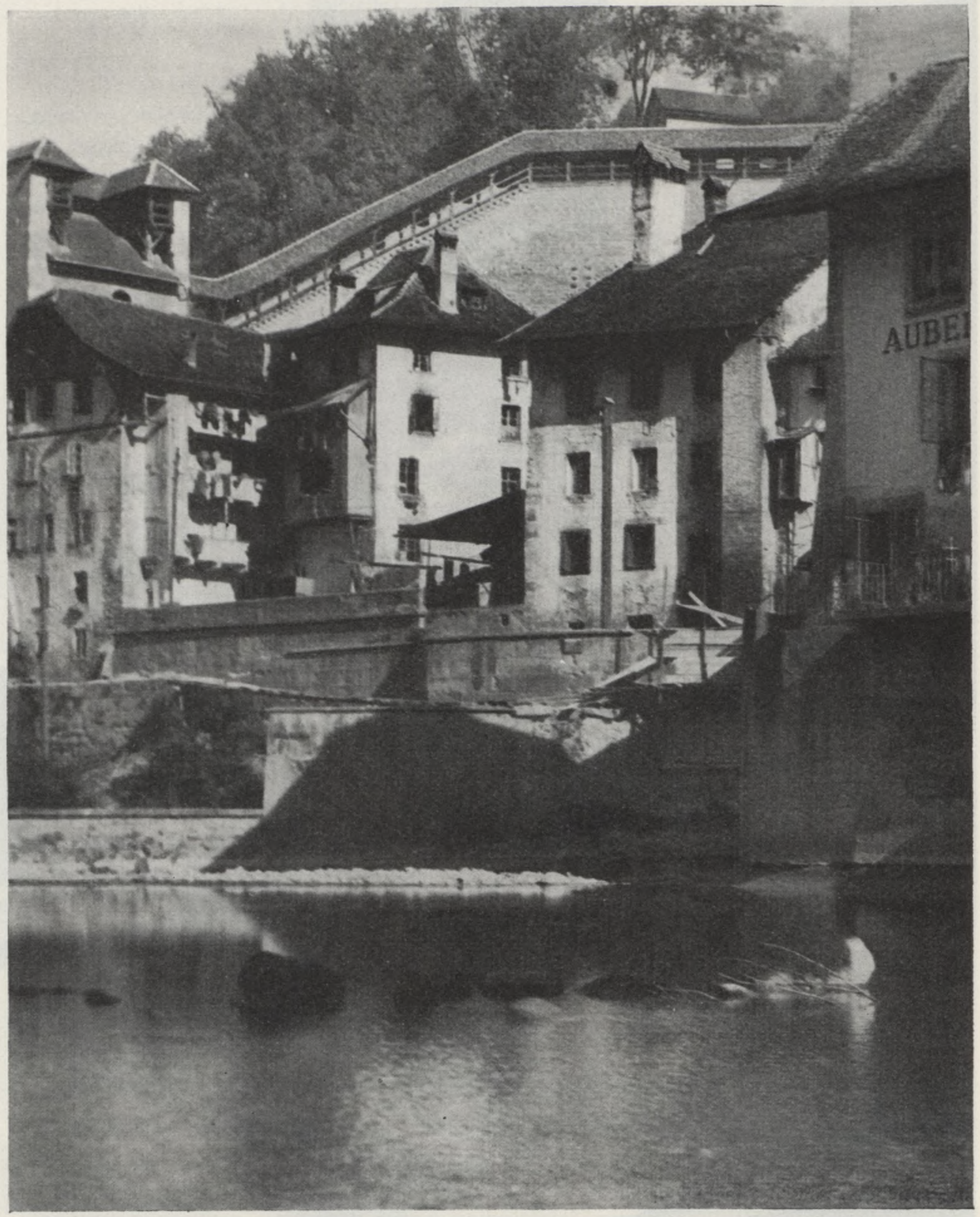
Każdy, kto przeżył te chwile, będzie na zawsze pamiętał owe ponure, pełne oszołomienia i bezradnej troski dni październikowe, kiedy do dymiącej jeszcze Warszawy powoli ściągali z powrotem zmordowani bezcelową tułaczką „wędrowcy", kiedy pod mżącym bez przerwy deszczem jesiennym niezliczone tłumy błądziły, potykając się wśród zgliszcz i ruin, szukając bliskich i znajomych, starając się w zetknięciu z nimi znaleźć odpowiedź na tyle dręczących pytań. Nigdy jeszcze nie odczuwano tak żywo łączących więzów — jeśli już nie rodzinnych lub przyjacielskich, to przynajmniej zawodowych. Toteż gdy utworzono w lokalu Ipsu rodzaj punktu zbornego dla artystów, ściągali tam wszyscy w nadziei znalezienia pociechy i rady, wspólnego zastanowienia: co dalej?... Zapomniano o drobnych sporach i kłótniach dzielących świat artystyczny, każdego nowoprzybyłego witano jako członka wielkiej rodziny, cieszono się, iż tak niewielu artystów zginęło podczas tych tygodni klęski.

Wśród muzyków opłakiwano jedynie Felicjana SZOPSKIEGO, który zakończył życie podczas oblężenia Warszawy i Michała JAWORSKIEGO, który zginął na polu walki. Sporą liczbę wybitniejszych muzyków zastał wybuch wojny za granicą, z drugiej jednak strony warszawski świat muzyczny został zasilony przez muzyków z innych dzielnic, zmuszonych przez wypadki wojenne do opuszczenia miast, w których działali przed wojną: z Pomorza przybyli PERKOWSKI, WIŁKOMIRSCY, ROESLEROWIE, z Wielkopolski WIECHOWICZ, LATOSZEWSKI, LISICKI, RACZKOWSKI i młody, dotychczas w Warszawie prawie nieznany skrzypek i kompozytor Roman PADLEWSKI, któremu sądzono było na krótko zabłysnąć na firmamencie warszawskim i zgasnąć na zawsze w powstaniu warszawskim 1944 roku. Z Katowic przybył KULCZYCKI. Wprost do Krakowa z muzyków poznańskich zawędrowali sędziwy Feliks NOWOWIEJSKI oraz KASSERN. Jeszcze może nigdy tylu muzyków polskich naraz nie było zgrupowanych w jednym mieście i fakt ten nie pozostał bez wpływu na dalszy rozwój wypadków, sprawił iż spośród wszystkich grup artystycznych muzycy stanowili grupę najbardziej zgodną i solidarną, najbardziej zjednoczoną.

Narazie wszystkich łączyła wspólna bieda. Wszyscy byli jednakowo wysadzeni z siodła, jednakowo pozbawieni możliwości zarobkowania. Szkoły muzyczne i sale koncertowe, teatry nie funkcjonowały; zresztą zarówno z Teatru Wielkiego jak z gmachu Filharmonii pozostały jedynie osmalone mury. Ocalało przed bombardowaniem jedynie Konserwatorium. Biblioteki muzyczne,



E. Lukas. Fragment Polskiego Muzeum w Rapperswilu (Szwajcaria).



J. Godyński. Fryburg. Fragment Starego Miasta.

między innymi cały materiał nutowy Filharmonii, spaliły się, lub — jak np. wartościowe zbiory Towarzystwa Muzycznego lub Instytutu Szopenowskiego — zostały skonfiskowane przez Niemców. O powrocie do normalnej pracy nie mogło być mowy, zresztą władze okupacyjne nie zdradzały najmniejszej chębi do umożliwienia tego powrotu. Tymczasem, pomijając wszelkie inne względy, położenie materialne stawało się coraz dotkliwsze. W „centrali samopomocowej" w Ipsie udzielono skromnych jednorazowych zasiłków, usiłowano zorganizować stołówkę, lecz zamiar ten został wkrótce udaremniony przez zajęcie lokalu przez Niemców na kantynę żołnierską.

Ratunkiem stała się instytucja, która w owych ciężkich latach pozwoliła zarobić na chleb tylu Polakom — kawiarnia. Wśród muzyków na pomysł założenia kawiarni pierwszy wpadł Piotr PERKOWSKI, który, wynająwszy przy ulicy Szpitalnej lokal po sklepie z fortepianami Kerntopfa, założył tam kawiarenkę pod wymowną nazwą „Lira". Malutki ten lokal stał się na jakiś czas punktem zbornym muzyków warszawskich i tam też odbywały się pierwsze koncerty kawiarniane. Na tego rodzaju występy Niemcy pozwalali, widząc w tym okazję do obniżenia powagi sztuki polskiej. Muzycy jednak potrafili przeciwstawić się temu perfidnemu zamiarowi. Grali w kawiarniach, bo nie wolno im było grać gdzieindziej, grali jednak muzykę poważną i występom tym nadawali charakter prawdziwych koncertów. Publiczność, zwłaszcza na początku, zrozumiała doskonale sytuację i zachowywała się w kawiarniach podczas występów jak na sali koncertowej. Zresztą w okresie, kiedy te stały się jedyną manifestacją sztuki polskiej, zdobyły one ogromne powodzenie. Nawet ludzie, którzy przed wojną nigdy nie uczęszczali na koncerty, uważali za punkt honoru regularne chodzenie na wszystkie występy kawiarniane. Nic też dziwnego, że w tych warunkach nowe kawiarnie artystyczne mnożyły się jak grzyby po deszczu. Niemal zaraz po „Lirze" otworzył Bolesław WOYTOWICZ w lokalu Domu Sztuki na Nowym Świecie kawiarnię, gdzie wśród pięknych antyków wykonywano poważną muzykę solową i kameralną. Wielką sensację wzbudziło zorganizowanie przez DOŁŻYCKIEGO w największej kawiarni warszawskiej — u Lardellego — koncertów symfonicznych.

Obok tych najważniejszych ośrodków poważnej muzyki można wymienić jako ważniejsze kawiarnie muzyczne: założoną przez St. PIASECKIEGO w ocalałej części gmachu Filharmonii „Arkadię" oraz uprawiającą (pod kierownictwem Adama DIDURA i Zygmunta LATOSZEWSKIEGO) przede wszystkim muzykę operową „Gastronomię". Zresztą muzykę mniej lub więcej poważną wykonywano niemal we wszystkich tak w owym okresie licznych kawiarniach.

W ten sposób muzycy pierwsi wśród artystów polskich nietylko zdołali uratować z pogromu swoją sztukę, ale też pierwsi znaleźli możność materialnego przetrwania ciężkich czasów. W przeciwieństwie bowiem do literatów, plastyków i architektów, dla których zarobkowanie w swoim zawodzie było niemożliwe bez pójścia na współpracę z okupantem, w przeciwieństwie do aktorów stojących przed ciężkim problemem wyboru między profanacją swej sztuki w jedynie przez Niemców pozwalanych farsach i rewiach lub zmianą zawodu — mogli muzycy pozostając w swym fachu zapewnić sobie jakie takie utrzymanie w okresie, kiedy uniemożliwiona była dla nich jakakolwiek pomoc zzewnątrz.

Jednakże ten względnie pomyślny stan nie trwał długo. Przy wielkiej ilości kawiarń, w których c o d z i e n n i e uprawiano poważną muzykę, trudno

było liczyć na stałą frekwencję melomanów. Zwyczajna zaś publiczność kawiarniana po paru miesiącach ponoszenia ofiar w imię wyższych celów miała wreszcie dosyć tego stanu, przy którym należało godzinami słuchać trudnej muzyki, nie mogąc rozmawiać ani nawet zamieszać kawy łyżeczką. Frekwencja w kawiarniach artystycznych zaczęła wyraźnie spadać, co zmuszało coraz to nowego właściciela kawiarni do rezygnacji z wyższych ambicyj i do dawania swym klientom muzyki w postaci, w jakiej występowała ona w kawiarniach przedwojennych — jako rozrywka, miły i nieobowiązujący akompaniament do rozmów i konsumpcji.

Przy wielkiej jednak liczbie lokalów nie znajdowano wystarczającej ilości zawodowych muzyków kawiarnianych. Zadania wykonywania muzyki rozrywkowej musieli się podjąć artyści poważni, co w nielicznych tylko wypadkach dawało zadowalające wyniki. Przeważnie słyszano w owym okresie muzyków, co z powagą i dokładnością godną Bacha czy Bethovena wygrywali sentymentalne tanga, albo — co gorsza — czynili niezaradne wysiłki, by uchwycić t. zw. „dryg jazzowy". Mimo iż większość z nich, nie widząc innej drogi zarobkowania, musiała podjąć się tego niewdzięcznego zadania, niejeden z wybitniejszych artystów, nie chcąc się zmanierować, zrezygnował z tej formy zarobkowania. Tym samym problem bezrobocia stał się znów na terenie muzycznym aktualny.

Bardziej jeszcze niż wyżej opisane powody przyczyniło się do pogorszenia stanu postępowanie okupanta. Niemcy, widząc, iż ich zamiar sprofanowania w kawiarniach sztuki polskiej został przez muzyków unieszkodliwiony, zaczęli stosować wobec produkcyj kawiarnianych wszelkiego rodzaju ograniczenia. Każdy program musiał być poddany ścisłej cenzurze, przy czym zakazowi wykonywania podlegała muzyka polska, francuska, anglosaska, norweska, a po 1941 roku również rosyjska. Stwarzało to naprawdę niezwalczone trudności repertuarowe. Jednakże korzystając z ignorancji „cenzorów" zdołano i na ten zakaz znaleźć radę, przemycając naprzykład utwory kompozytorów polskich o niesłowiańskich nazwiskach jak Melcer, Gall, Kazuro, Ekier, bądź też (przed 1941 rokiem) nadając polskim nazwiskom formę rosyjską (Noskowskij, Szymanowskij). Podstępy te przeważnie się udawały, jedynie na punkcie Szopena była cenzura niemiecka czujna i nieustępliwa. Obok tych szykan programowych stosowali Niemcy szereg dotkliwych ograniczeń, dotyczących np. ilości osób występujących w zespołach, zakazuwykonywan ia duetów operowych i t. p. Najcięższy problem stanowiło jednak uzależnianie przez okupanta prawa do wykonywania zawodu od udziału w niemieckich imprezach, koncertach dla rannych żołnierzy, występach na przyjęciach u Franka lub grania w nowozorganizowanych niemieckich orkiestrach symfonicznych. Imprezy te miały wyraźny cel propagandowy — chodziło o pokazanie światu, że dopiero Niemcy wprowadzili w Polsce prawdziwą kulturę muzyczną.

W tych warunkach muzycy polscy stanęli przed wyborem: współpraca z nieprzyjacielską propagandą lub rezygnacja z jawnego uprawiania zawodu. Trzeba przyznać, iż ogromna większość nie zawahała się w wyborze i nieliczni tylko dla względów osobistych splamili się współpracą z okupantem, jak np. DOŁŻYCKI, który nietylko jawnie manifestował swoje filoniemieckie stanowisko, lecz również szantażem zmuszał innych muzyków do podobnego postępowania. Odpowiedzią społeczeństwa był bojkot koncertów u Lardellego.

Widząc fiasko swej polityki zaczęli Niemcy stosować przymus policyjny. Wybitniejsi muzycy polscy dostawali bezwzględny rozkaz występowania na imprezach niemieckich. Potrafili jednak i temu się przeciwstawić, mimo iż nie tylko odbierało im to prawo do wszelkich występów w ogóle, lecz zmuszało niekiedy nawet do ukrywania się. Przykład zdecydowanego oporu dały kobiety: Eugenia UMIŃSKA, Irena DUBISKA, Ewa BANDROWSKA-TURSKA, co w tym gorszym świetle stawiało tych kilku mężczyzn, którzy nie znaleźli w sobie wystarczającej odwagi cywilnej, by zdobyć się na niedwuznaczną odmowę.

Równolegle z presją wywieraną na poszczególne jednostki likwidowali Niemcy pod tymi lub innymi pozorami polskie kawiarnie, kultywujące poważną muzykę. Po aresztowaniu Stanisława PIASECKIEGO zamknięta została „Arkadia", przy czym aresztowano cały personel, między innymi występującego tam pianistę GADOMSKIEGO, który, mimo iż nie miał nic wspólnego ze sprawą Piaseckiego, został wywieziony do Oświęcimia i tam zakończył życie. Lokal „Gastronomii" zamknięto i mimo parokrotnych prób w innych lokalach nie udało się już wskrzesić tej tak bardzo w czasach okupacyjnych popularnej „Opery Warszawskiej". Bojkot społeczeństwa doprowadził do likwidacji koncertów symfonicznych u Lardellego — toteż pod koniec lat okupacyjnych jedynym lokalem uprawiającym poważną muzykę, a równocześnie nie splamionym kontaktami z okupantem, pozostała w Warszawie kawiarnia Woytowicza.

(Dokończenie nastąpi)

Władysław Łuczak

Ogród

Liliowym smutkiem te gasnące zorze
Splatają warkocz już półsennych wierzb —
Cisza spoczynku szuka na trawie,
Lecz gdzie ją znajdzie...
Gdzie?
Gdy smutek liliowy te gasnące zorze
Splata warkoczem już półsennych wierzb...

Teraz się wisien i czerwienią malin
Złocą ogrody pod opieką grusz — —
Tak bym chciał spocząć w cieniu wiśniowym,
Lecz, że nie mogę...
Cóż?
Więc śliwy fioletem mnie wołają z dali
Czerwienią wisien i cieniami grusz...

NIE ŻYJĄ...

W czasie wieczoru literackiego, urządzonego w dniu 20 września b. r. w »Ognisku Polskim« w Londynie przez PEN-Klub Polski, ogłoszona została lista nieżyjących już dzisiaj polskich pisarzy. Nazwiska cytujemy na podstawie artykułu St. Jazówny »In memoria«, który ukazał się w Nr. 229 Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza, Londyn 27 września 1945.

Stefan Balicki
Henryk Balk
Wacław Berent
Józef Birkenmajer
Rafał Bluth
Edward Boyé
Tadeusz Boy-Żeleński
Emil Breiter
Wincenty Korab-Brzozowski
Łucja Charewicz
Anna Chorowiczowa
Ks. Nikodem Cieszyński
Stanisław Cywiński
Ignacy Chrzanowski
Józef Czechowicz
Jan Dąbrowski
Tadeusz Dołęga-Mostowicz
Julia Dickstein-Wieleżyńska
Stefan Esmanowski
Ignacy Fik
Ludwik Fryde
Józef Aleksander Gałuszka
Wacław Gąsiorowski
Maria Gerson-Dąbrowska
Stefan Godlewski
Halina Górska
Stefan Górski
Emilia Grocholska
Jan Adolf Hertz
Dawid Hopenstand
Tadeusz Hollender
Jerzy Hulewicz
Karol Husarski
Karol Irzykowski
Juliusz Kaden-Bandrowski
Światopełk Karpiński
Antoni Kasprowicz
Stefan Kiedrzyński
Zygmunt Kisielewski
Stefan Kołaczkowski
Karol Ludwik Koniński
Janusz Korczak
Julian Krzewiński
Felicja Kruszewska
Kazimierz Leczycki
Jan Lorentowicz
Alfred Lauterbach
Henryka Łazowertówna
Zygmunt Łempicki
Bolesław Miciński
Stanisław Miłaszewski
Wanda Miłaszewska
Stefan Napierski
Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska
Tadeusz Michał Nittmann
Witold Noskowski
Adolf Nowaczyński
Ostap Ortwin
Jerzy Paczkowski
Stanisław Piasecki
Stanisław Piołun-Noyszewski
Leon Piwiński
Leon Pomirowski
Lech Piwowar
Antoni Potocki
Wincenty Rapacki (syn)
Marian Reiter
Maria Rodziewiczówna
Stanisław Rogoż
Stanisław Rogowski
Stanisław Rossowski
Józef Ruffer
Wacław Sieroszewski
Artur Śliwiński
Antonina Sokolicz
Augustyn Suski
Jerzy Szaniawski
Maciej Szukiewicz
Bruno Szultz
Tadeusz Szulc
Mieczysław Treter
Kazimierz Przerwa-Tetmajer
Andrzej Tretiak
Konstanty Troczyński
Tadeusz Ulanowski
Tadeusz Węclewski
Kamil Weintraub
Bruno Winawer
Stanisław Ignacy Witkiewicz
Stanisław Woźnicki
Aniela Zagórska
Antoni Zachemski
Anna Zahorska-Savitri
Henryk Zbierzchowski
Emil Zegadłowicz

Ponadto nie żyją:

Tytus Czyżewski
Leon Chwistek
Henryk Dembiński
Andrzej Wolica
Maria Żeromska
Jakub Bojko
Halina Krahelska
Antoni Kucharczyk (Jantek z Bugaja)
Maria Pawlikowska
Stefania Sempołowska
Wojciech Skuza
Lucjan Szenwald
Edward Szymański

Jak widać z powyższej, jeszcze niekompletnej, listy — straty, jakie poniosła nauka i literatura polska, są ogromne. Jeżeli weźmiemy ponadto pod uwagę sześcioletni (dotychczas) okres zupełnego zahamowania życia umysłowego w kraju, gnębionego przez niemieckiego okupanta — oraz liczne zastępy młodej inteligencji polskiej, walczącej i umierającej na różnych frontach alianckich — możliwości prędkiej regeneracji polskiego życia umysłowego i kulturalnego maleją do zatrważającego minimum. Trzeba nam będzie długich lat spokoju, aby te straszne luki i wyrwy załatać.

Na wspomnianym wieczorze PEN-Klubu przyjęty został słuszny wniosek uzupełnienia 2-tomowej książki p. t. »Straty kultury polskiej«, wydanej przez »Książnicę Polską« w Glasgowie, trzecim tomem, na którego treść złożyłyby się życiorysy zmarłych i zabitych pisarzy polskich.

E. L-s.



J. Godyński. Fryburg. Kapliczka.



J. Godyński. Jesienny wiatr.

Janusz Kucharski

ELEMENTARZ

Zostałaś daleko za mną,
Rzucona po pierwszej klasie,
Książko liter najprostszych
O »Ali«, »Lali« i »Asie«.

Bo potem już były inne
Grey'a, Coopera i May'a...
Okładki grzały mi ręce
W czas burzy gdzieś w Himalajach.

Stron kilka zwiniętych w kulki
Krucicy służyły za stempel
Kiedym to z panem Kmicicem
Chadzał na nocne występy.

A na ostatniej (o Boże!) —
Na szczęście tej też już nie ma —
Pocilem owiany wiosną
Pierwszy miłosny poemat.

Książko dawno rzucona
Znalazłaś mnie tu po latach.
I jąkam, prawie jak wtedy,
»To mama« jest, a »To tata«...

A to jest dom, a tu pole,
Tam sad pod kwiecia ciężarem
I cisza południa wisząca
Nad ziemią szczęściem i żarem.

Uczę się znowu na nowo,
Poznaję zapachy i dźwięki,
Sylabizuję po stronie
Z radością rosnącą i lękiem.

Bo słowa są coraz trudniejsze,
Czasem zatarte i w plamach.
Dziwi mnie, skąd się tu wzięły...
Szczególnie ta czarno-rudawa.

I nagle wiem i rozumiem,
I czytać dalej się boję.
W plamy się słowa zmieniają
To mój... to moja... to moje...

Zbigniew Małecki

Od „laterna magica“ do filmu plastycznego

Żywe tempo współczesności, nadmiar sensacyj i wrażeń, nie pozwalają przeciętnemu czytelnikowi na zastanawianie się lub rozpamiętywanie w dziejach zjawiska, którego istnienie uważa się za rzecz zwykłą i oczywistą, jak choćby sam fakt chodzenia do kina. Mowa tu o filmie i jego historii. Półwieczna rocznica narodzin X-tej muzy wypadła w okresie gorączki „przedpokojowej“ i siłą rzeczy ograniczyła się do krótkich wzmianek i notatek dziennikarskich. Nawet wytwórnie filmowe obchodziły ją skromnie i po domowemu — w studio.

22-go marca 1895 roku bracia August i Ludwik Lumiére zademonstrowali poraz pierwszy zdumionym członkom „Société d'encouragement á l'industrie nationale“ swój „Kinétoscope de projection“. Siedemnaście metrów (!) filmu przedstawiającego robotników fabryki braci Lumiére, w chwili opuszczania zakładu pracy. „W tym małym lokaliku, w tym krótkim odstępie czasu, widzi się świat przechodzący obok“ zawyrokowała prasa paryska o narodzinach najkapryśniejszej z muz. A już w grudniu tego samego roku w piwnicy „Grand Café“ na Boulevard de Capucines wyświetla się pierwsze filmy. Dwanaście filmów w ciągu dwudziestu minut! Cały Paryż „wali“ oglądać wielkie dziwo. Filmy są o charakterze reportażowym (m. inn. wyświetla się słynny film przedstawiający pociąg, który pełną parą pędzi na widownię, powodując panikę i dreszcz grozy).

Najbardziej jednak paradoksalną rzeczą w historii rozwoju filmu jest fakt, że film dźwiękowy istniał przed filmem niemym. W roku 1887 — a więc na osiem lat przed wynalazkiem braci Lumiére — T. A. Edison skonstruował aparat, który pozwalał na równoczesne oglądanie ruchomych obrazów i słyszenie głosów poruszających się na ekranie osób. Była to właściwie kombinacja fonografu ze znaną wówczas zabawką dziecinną. Niestety marzenie Edisona o przekazaniu potomności obrazów i głosów wielkich artystów ma się spełnić całkowicie dopiero za lat czterdzieści. W międzyczasie dla filmu kończy się okres ząbkowania. Magiczne latarnie wędrownych kramarzy przeradzają się w pełne swoistego wdzięku „iluzjony“. Na brudnej płachcie ekranu wyświetla się pełne przesadnej teatralności i fałszywej ekspresji „obrazy“. Między sceną a rzędem ławek widowni nieodłączna dla filmu niemego orkiestra (przeważnie fortepian, skrzypce i bęben) oraz pulpit „objaśniacza“. Ten ostatni spełnia rolę dzisiejszych podtytułów, komentując i objaśniając przebieg filmu.

Rod 1916 przynosi olbrzymi postęp w dziedzinie sztuki filmowania. Dzięki wynalazkowi Anglika Griffith'a (zademonstrowany w filmie „Birth of the nation“) film zyskuje na przestrzeni i ruchu. Sztywno dotychczas umocowana kamera zostaje „zwolniona“ i „uruchomiona“. Dzięki temu nie aktorzy zbliżają się do objektywu, lecz objektyw do aktorów. Film zyskuje na swobodzie, naturalności i ekspresji. „Uruchomienie“ kamery — to pierwszy siedmiomilowy krok filmu, pierwszy krok cudownego dziecka. Jednocześnie daje się zauważyć postęp w urządzaniu sal kinowych. Miejsce ciemnych bud zastawionych drewnianymi ławkami zajmują luksusowe pałace kinowe, pełne komfortu i przepychu, często z własnymi orkiestrami i zespołami rewiowymi.

Powoli zanika wśród t. zw. lepszych sfer uprzedzenie do kina, jako do czegoś nieodpowiedniego i niewypadającego. Kino przestaje być rozrywką klasy proletariatu i przedmieściowej publiczności, jest dla wszystkich bez żadnych różnic. Przenosi się do centrum miast i coraz głębiej przenika w przedmieścia. W tymże okresie Szwed Victor Sjöström produkuje pierwszy film krajobrazowy. Odtąd pełne sentymentalizmu i nastrojowości zdjęcia plenerowe stają się nieodzowną częścią filmu.

Okres powojenny jest punktem szczytowym rozwoju filmu niemego. Pojawiają się wtedy takie filmy jak: „Nibelungi“ (1924), „Faust“ (1925), „Metropolis“ i „Tartuffe“ (1926). Jest to już pieśń łabędzia filmu niemego i europejskiego. Z drugiej strony „wielkiej wody“ powstaje zorganizowany, oparty na mocnym podkładzie finansowym przemysł filmowy. Ameryka zalewa świat serią filmów, o których zaczyna się mówić. Film pozyskuje społeczeństwo i jego odbicie — prasę. Krytycy zaczynają dyskutować nad różnicami pomiędzy filmem a sztuką teatralną. Mówi się o możliwościach upadku teatru, o nowych perspektywach artystycznych filmu. Mówi się o filmie, jako o n o w e j s z t u c e. Mówi się także o artystach, świat poznaje Gretę Garbo, Mary Pickford, Douglasa Fairbanks i komicznego Don Kichota naszego stulecia Charlie Chaplina. A później przychodzi „Sonny Boy“ produkcji Warner Bros i rozpoczęła się nowa era filmu dźwiękowego.

Obawy pesymistycznych krytyków nie spełniły się. Film stał się sztuką, ale nie wyparł teatru. Operując zupełnie innymi środkami i metodami przedstawiania pewnych zjawisk czy problemów ludzkich film wytworzył własną, oryginalną szkołę gry i własne pojęcie sztuki odtwarzania, stając się jednocześnie bardziej dostępny dla wszystkich, niż teatr.

Gdy z perspektywy lat pięćdziesięciu spojrzymy na rozwój filmu, od magicznej latarni wędrownych kramarzy poprzez migające obrazy iluzjonów przedwojennej doby na dzisiejsze superprodukcje wytwórni amerykańskich lub już europejskich, zauważamy olbrzymi postęp, postęp, którego nie da się porównać z postępem w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Tymbardziej, że film dzisiaj nie wyczerpał jeszcze swych wszystkich możliwości i ciągle jest — jeśli chodzi o jego stronę techniczną — w powijakach. Najbliższa przyszłość kryje wiele niespodzianek. Gdy mówimy o przyszłości filmu posługujemy się przeważnie kryterium dzisiejszym, nie uwzględniając prawdopodobieństwa nowego technicznego skoku. W dziedzinie technicznej mówi się ostatnio wiele o filmie plastycznym-kolorowym, wydaje się jednak, że ta inowacja pójdzie jeszcze dalej, w tym sensie, iż niezależnie od obrazu plastycznego, będziemy wkrótce plastycznie słyszeli. Stereofonia, dźwięk plastyczny lub przestrzenny, jest właśnie „ostatnim krzykiem“ techniki filmowej sygnalizowanym z Ameryki. Wynalazek ten polega na uplastycznieniu odbieranego dźwięku, t. zn. zamiast słyszeć płaski ton wychodzący z centralnego punktu ekranu, przez co odbieramy go na podobieństwo głuchego na jedno ucho, słyszeć będziemy ton lub głos wybiegający niejako z całego ekranu. Obserwując bowiem film słyszymy ciągle z jednego punktu, nawet wtedy, gdy artyści poruszają się w różnych kierunkach. Widząc grający zespół odbieramy sumę poszczególnych tonów, połączonych już w głośniku, za pośrednictwem którego odbieramy. Dźwięk plastyczny będzie więc polegał na rozszczepieniu tych dźwięków, rozproszeniu i uprzestrzenieniu, w przekazaniu ich w takiej postaci, w jakiej odbiera się

Władysław Łuczak

Słońce

Słońca rozpalony krąg
Odbija się od ziemi —
Wytryska z jasnych rąk
Strzałami twoich dłoni.

Zapala się u stóp —
Żarłoczny, lotny pożar
I zgięty w złoty róg
Na górach długo gorzał.

Płynie — nie, to pląs —
Cowboyski, dziki mustang —
Grzywą promieni wstrząsł,
Palących się przy ustach.

---

je w sali koncertowej lub teatralnej. Obok tego będzie trójwymiarowy obraz, który narazie znajduje się w zazdrośnie strzeżonych studiach w stadium doświadczalnym i podobno jest on już dojrzały do rzucenia go na ekrany kin świata.

Brak miejsca nie pozwala nam na szersze omówienie wszystkich nowości z tej dziedziny. Wspomnimy tu jeszcze o t. zw. projekcji dalekosiężnej, polegającej na jednoczesnym przekazywaniu jednego filmu w kilkudziesięciu a nawet kilkuset kinoteatrach, względnie bezpośredniej transmisji telewizyjnej. Jest to szczególnie ważne dla przekazywania aktualności i kto wie, czy w niedalekiej przyszłości telewizor dalekosiężnej projekcji nie zastąpi nam przyjemności poobiedniego czytania gazet...

Po 50-ciu latach rozwoju film wkracza na nowe drogi. Przezwyciężywszy początkowe trudności techniczne sięga po nowe, dążąc do doskonałości. Rola, jaką odegrał dotychczas w dziedzinie kulturalnej i społecznej, pozwala mieć nadzieję, że i w przyszłości film służyć będzie wiernie sztuce i sprawie dobra ogólnego kultury ludzkiej.

Bronisław Miazgowski

NA PRZEŁĘCZY

Wytrwale, uparcie, a z niezmierną uwagą Paweł Czerny prowadził. Próbując bądź kijem, bądź nogą, odszukiwał drogę — wąską, osiemdziesięciocentymetrową ścieżkę, żłobioną w skale lub kamienistym gruncie przez polskich żołnierzy na użytek 12 szwajcarskiej górskiej brygady w Alpach. Śniegu było już powyżej kolan. W prawo było zbocze, w lewo przepaść. Drogę znajdowało się więc dotykiem. Trochę pomagała znajomość okolicy, no i instynkt. Wzrok nie przydawał się na nic. Człowiek na odległość pięciu kroków rysował się jako ciemna sylwetka, na granicy zaś ośmiu, dziesięciu niknął już zupełnie. Bo to nie była zwykła mgła — taka, jaka bywa w dolinach, czy nawet nieraz w górach. Była to niezwykła zawieja śnieżna, niebywałe zgęszczenie chmur, zmieniających się w śnieżną kurniawę, targaną porywistym wichrem, przy akompaniamencie bijących od czasu do czasu, jak ze stu bateryj ciężkiej artylerii, piorunów. Bo było to jeszcze lato, koniec sierpnia, w Alpach, na wysokości dwu i pół tysiąca metrów.

I trwała ta zawieja już szósty dzień. Szósty już dzień trzydziestu ludzi w samotnym baraku na Rödi-Pass było odciętych od świata. Zasypani śniegiem, otuleni mgłą gęstą jak wata, czekali kiedy to minie. Z początku bawiło ich to. Była to pierwsza w ich życiu śnieżna burza z piorunami, mgła jakiej jeszcze nigdy nie widzieli, poza tym okazja do niekończącego się bridża, »tysiąca«, »dziewiątego wała« i innych gier wynalezionych przez genialnych ludzi na użytek polskich internowanych w Szwajcarii, wśród których to gier pocker, oficjalnie zabroniony a cichcem powszechnie uprawiany, nie należał do najbardziej pogardzanych. »Fanatycy« grali w szachy, »rozsądni« spali, »stuknięci« czytali książki, jeden zakochany (był i taki) pisał listy, a Ryto — (popularny skrót od nazwiska Rytowicz) pisał dziewiętnasty rozdział dwudziestego siódmego tomu swego pamiętnika.

Po trzech dniach jednak przestało to być zabawne.

Prowiant się skończył, drzewa wystarczało jeszcze tylko do kuchni, ale nie na ogrzewanie baraku, nafta w lampach się dopalała, prywatne świece na wagę złota wykupili brydżyści (ci wygrywający... żeby jeszcze więcej wygrać), gazet i listów pocztowy nie przynosił, a strzelec Wyrwa miał w kantynie jeszcze tylko pięć pudełek sardynek i kilka serków, na które zresztą kapitan Żelski, komendant obozu zesłańców wysokogórskich, w imieniu służby a dla dobra ogółu położył areszt.

Z obozu, położonego o dwa tysiące metrów niżej, nikt nie przychodził z odsieczą, to jest z prowiantem, listami, czy rozkazem zejścia na dół.

Minęły jeszcze dwa dni...

W baraku nastrój stawał się ponury. Było zimno, wszyscy byli głodni. Mgła doprowadzała niektórych do szału. Ludzie podrażnieni byle głupstwem skakali sobie do oczu, klnąc we wszystkich oficjalnych językach Szwajcarii, nie wyłączając oczywiście własnej pięknej polskiej mowy. Najbardziej przeklinano tych tam na dole, zresztą tak tylko dla zasady. Każdy bowiem rozumiał, że w taką pogodę szaleństwem byłoby ruszać w drogę. Z baraku do strumyczka oddalonego o 250 metrów wyruszała po wodę cała specjalnie organizowana karawana, bo wiatr zasypywał natychmiast ślady, a mgła i śnieg oślepiały do reszty. Chwilami śnieg przestawał padać, kilka razy nawet na chwilę ukazało się słońce, ale i wtedy nic nie można było rozpoznać. Blask oślepiał, oczy nabiegały krwią, a świat wydawał się jakąś niesamowitą białą kulą, wyścieloną śnieżnym puchem.

Biel... biel... nic, jak tylko biel...

Wiedziało się według ścian baraku, że tam to Gelbhorn, tam Weisshorn, w tamtej stronie d'Annarosa, a tam -- włoska granica. Ale straciwszy barak z oczu było się jak żeglarz na morzu: bez słońca, gwiazd, ni kompasu.

Szóstego dnia śnieżycy przed południem (według zegarków, które nakręcano z przyzwyczajenia) kapitan zarządził odprawę, na której przedstawił podkomendnym dobrze im znany stan sprawy. Zakończył stwierdzeniem:

— Jutro w południe zjemy ostatnią, zmniejszoną porcję kartofli. Dziś na wieczór porąbane zostaną deski z przepierzenia między świetlicą a pryczami, bo nie ma innego drzewa dla kuchni. Ponieważ bez rozkazu obóz na dół zejść nie może, musimy sami sobie dostarczyć prowiant, naftę i drzewo. Wobec tego — wyciągał krótko ostateczny wniosek — trzech ludzi na ochotnika... Kto idzie?

Zgłosili się: Ryto, bo wariat i ma sportowe zacięcie, Wyrwa-kantyniarz, bo często schodził po zakupy na dół, więc dobrze znał drogę, i — Paweł Czerny. Diabli wiedzą dlaczego... Nikt się tym nie interesował. Chce — niech idzie...

Wyruszyli w południe.

Mgła zrzedła nieco, a im niżej tym było lepiej. Śniegu miejscami było do osiemdziesięciu centymetrów. Szli ostrożnie, trzymając się stale zbocza, uważnie stawiając każdy krok, a spadek terenu wskazywał im kierunek.

I zeszli.

Na dole przywitano ich jak członków zaginionej wyprawy polarnej. A oni jedli, jedli przede wszystkim. Potem wypili po odrobinie wina — naprawdę po odrobinie i czas był ruszać. Pięć i pół kilometra drogi, prawie dwa tysiące metrów różnicy wysokości. Niezła wspinaczka. Stąd, gdzie teraz byli, widać było tylko niski, ciężki, nieprzenikniony strop chmur. Stamtąd oni przyszli i tam mieli wrócić.

— Wwiercić się w ten sufit — jak ktoś z tych z dołu powiedział.

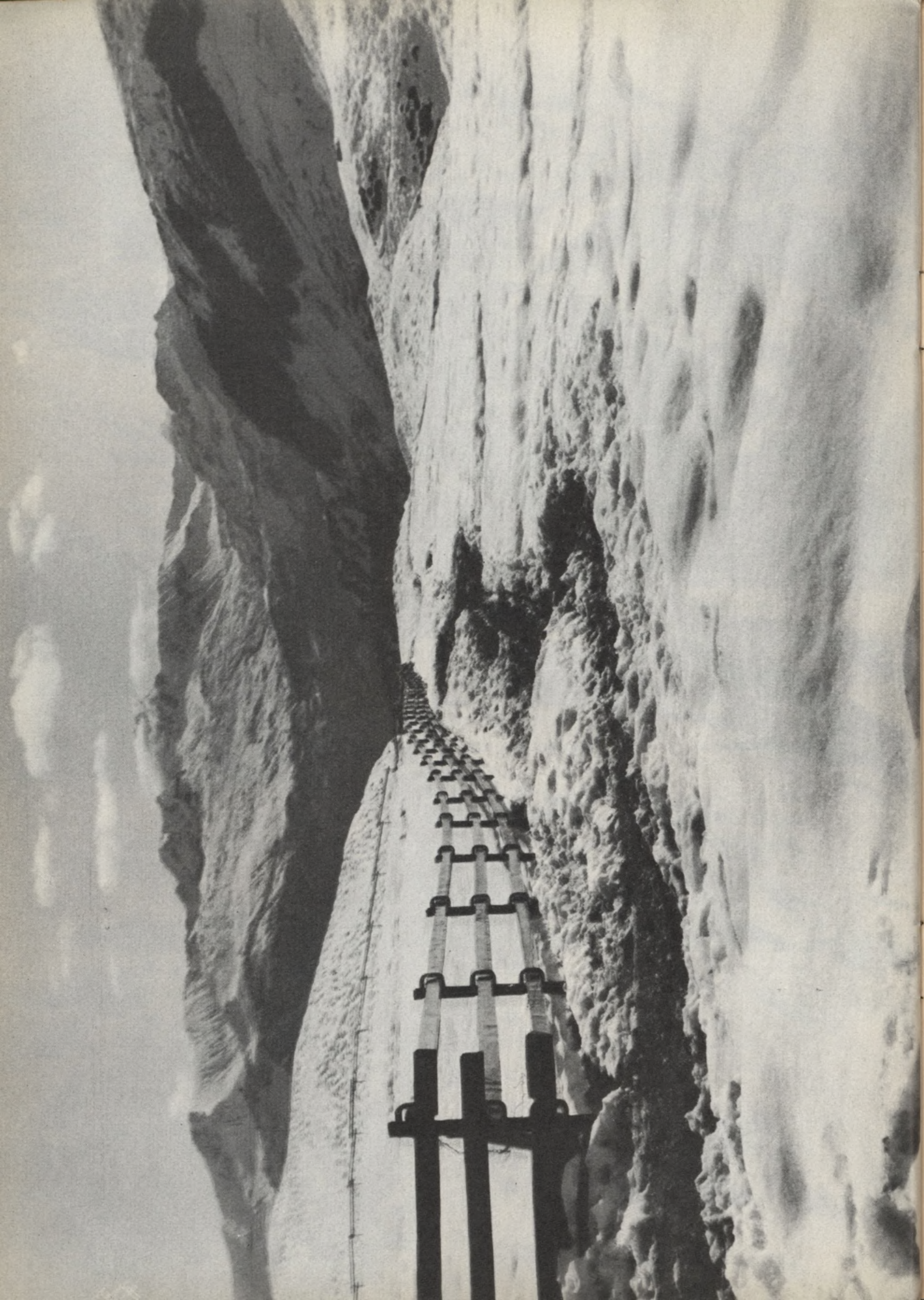
— Rozumiem upaść głową na dół — rzucił inny — ale tam trzeba walić głową do góry.

Aż mi w ciemieniu strzyka — żartował — gdy na to patrzę.

Dwa górskie juczne konie stały już gotowe do drogi. Prowiant, parę polan drzewa, nafta, worek z pocztą — to wszystko. Więcej na razie zabrać

E. Lukas. Motywy alpejskie.





nie można było. Przed odejściem, prawie w ostatniej chwili, telefonował komendant zgrupowania obozów akademickich, do którego należał też najmniejszy, trzydziesto-osobowy obóz na Rödi-Pass. Cieszył się, że żyją, że nie tracą animuszu, obiecał postarać się u władz szwajcarskich o rozkaz zejścia z przełęczy, jeśli pogoda się nie poprawi. Trzeba będzie robotę na tym odcinku przerwać. A na razie trzeba czekać.

Ruszyli — odprowadzani życzeniami i okrzykami tych z dołu. Za drugim zakrętem zaczynał się już śnieg. Za trzecim — mgła. Tam znikli.

Słowa milkły. Nawet gadatliwy Ryto tracił chęć do opowiadania swych nieprawdopodobnych historyj. Wyrwa przerwał swe kalkulacje kantynowe, czasem tylko rzucając po polsku, ale z francuskim akcentem:

— Ty cholera koń, pszakrew!

Bo Wyrwa nie był kawalerzystą. Życie całe spędził na emigracji we Francji, w Paryżu. Konie widywał tylko na wyścigach, a w wojsku był telefonistą.

Szli żywo. Wiadomo — koń juczny pod górę musi iść szybkim krokiem. Tak łatwiej mu dźwigać ciężar. Za to robili dość częste przystanki. Z początku rozeznawali jeszcze swoje ślady — dalej śnieg i zawieja zrobiły swoje. I znowu przyszła mgła. W milczeniu pięli się wyżej i wyżej, czasem nagle wstrzymując się, gdy stwierdzali urwisko i otchłań białej śmierci. Czasem przewodnik tracił na moment orientację i wstrzymywał karawanę, czasem koń się potknął o kamienny rowek ściekowy pod śniegiem. Czasem któryś z żołnierzy ugrzązł w śniegu, lub upadł. Z koni buchały kłęby pary, ludziom pot spływał z czoła.

Od czasu do czasu zmieniali się.

Ale potem Paweł szedł już stale pierwszy. Jakoś orientował się sprawniej, lepiej. On, zawsze zapatrzony w siebie, teraz lepiej rozeznawał drogę niż wszechwiedzący Ryto i sprytny kantyniarz.

— Ma niuch — z lwowska po batiarsku stwierdził Ryto.

Coraz wyżej, coraz dalej — wolno a wytrwale parli przez ten przedziwny, baśniowy kraj, ocierając się o skały-olbrzymy, o śmiercią ziejące przepaście, nie widząc ich... ale wiedząc, że są. Pamiętali, że droga ma 80 centymetrów. Nie wolno się pomylić. Jeden fałszywy krok, przeraźliwy krzyk, a potem już cisza. I tylko mgła. I o jedno życie mniej. A następnego lata jakiś pewien siebie turysta zdziwi się, jak mógł się tu człowiek zabić. Droga przecież tak wyraźna... Ach, to był internowany Polak — pewnie był pijany...

Ale Paweł nie był pijany. Paweł nie pił. Jego zazwyczaj skupiona twarz, teraz nabrała jeszcze poważniejszego wyrazu. Rysy jej zaostrzyły się, oczy mimo szarości mgły i przekrwienia białek nabrały jakiegoś zimnego blasku. Prowadził bezpiecznie, nieomylnie. Poprzednich śladów nie widział, ale wyczuwał je nieraz dotykiem. Nawiany śnieg w dawnych tropach był bardziej puszysty.

Byli już, sądząc z długości marszu i stromości terenu, na wysokości progu lodowca Weisshornu, tam gdzie zaczyna się wodospad. Jeszcze im zostało niecałe dwa kilometry. Śnieg nie padał. Mgła tylko trwała gęsta, dusząca i bez ruchu. Bo i wiatr ustał.

Naraz Czerny przystanął. Za nim — karawana. Wokół cisza, cisza głucha, nieprzenikniona. Tylko waliły ludziom i koniom zmęczone serca.

Paweł nasłuchiwał...

Wyrwa, który prowadził pierwszego konia, doszedł do niego.

— Zgubiłeś drogę — czyś się zmęczył?

Paweł nie odpowiadał. Twarz jego przybrała jakiś dziwny, nieprzenikniony wyraz, oczy jakby się wgłąb zapadły, jakby nie na zewnątrz, ale w sobie czegoś szukały.

— Co ci jest? — nastawał Wyrwa.

Paweł przesunął ręką po twarzy, po oczach i czole, odgarnął zlepione potem włosy i bez słowa ruszył.

Po jakichś dwustu metrach znowu nagle przystanął. Ryto z tyłu pokrzykiwał:

— Co jest do cholery! Tramwaj wam w poprzek drogi stanął, czy kot drogę przeszedł?!

— Przestań pyszczyć glupia idiota — rzucił mu w odpowiedzi Wyrwa — widzisz, że chlop cosz ma.

I poważnie, z troską w głosie do Pawła:

— Co jest Paul?... Quelque chose ne va pas?...

A Paweł wsparł się na kiju, głowę na pierś zwiesił i nasłuchiwał.

A wokół cisza — że gdyby nie wata mgły i śniegu, rzekłbyś, że aż dzwoniła.

— Serce mu nawala — apodyktycznie stwierdził Ryto. Bierz moją kobyłę — po przetartej drodze będzie ci lżej.

— Pilnuj swego, proroku — odpowiedział mu jakimś głuchym głosem Paweł, podnosząc ku niemu twarz, która zmieszanemu Rytowiczowi zdała się bielszą niż śnieg.

Ruszyli.

Rytowicz coś zaburczał pod nosem i wrócił do swego konia. Zły, ociągał się i zostawał w tyle. Wyrwa za to starał się iść tuż za Pawłem, niespokojny i zatroskany.

Do obozu było już niedaleko. Gdyby nie dziwne zachowanie się Pawła, byliby radzi. Udała im się wyprawa.

Droga, zbliżając się ku przełęczy, była coraz mniej stroma. Po jednej stronie mieli jar potoku, po drugiej zaczynał się już masyw Rödi, który dał nazwę przełęczy. Stąd, gdy dzień był pogodny, rozciągał się wspaniały widok na wszystkie szwajcarskie »horny« i »pitze«, na lodowce i urwiska, na dolinę, z której przyszli, a tam w dali — na szczyty włoskich Alp.

W tę to stronę znowu, nie dla odpoczynku się zatrzymując, Paweł zwrócił twarz. Twarz człowieka, którym targało jakieś niezwykłe uczucie, w którego uderzał jakiś nieuniknione, potężny cios. Nagłym ruchem podniósł obie ręce do głowy, zatkał nimi uszy, potem je bezwładnie opuścił i znieruchomiał w jakimś dziwnym zasłuchaniu. Z ust jego bezwiednie padły słowa, które Wyrwa zdołał usłyszeć:

— Woła mnie... znowu mnie woła...

Wzrok jego utknął w jakimś punkcie niewidocznego horyzontu, usta się rozchyliły, ręce uniósł gestem człowieka niewidomego przed siebie i jakby się zachwiawszy, jakby ostatni jeszcze czemuś dając opór, ruszył przed siebie w kierunku na Rödi, poprzecznym do kierunku drogi.

Wyrwa, patrząc na niego, nie umiał wydobyć żadnego słowa z siebie. Nie wiedział czy go wołać, czy biec za nim... Nie mógł konia zostawić samego — w obawie, by nie zszedł z drogi i nie spadł w jar, a Ryto wlókł się z tyłu po ich śladach, wreszcie wynurzył się z mgły, a widząc Wyrwę samego, zawołał niespokojnie:

— Paweł!... Gdzie Paweł?... Paweł! Paweł!

Wyrwa nareszcie otrząsnął się z pierwszego wrażenia, a krzyk Rytowicza obudził w nim niepokój. Rzucił wodze swojego konia Rytowiczowi i począł biec, wołając:

— Paweł!! Wróć, kark skręcisz, Paweł!!!

Ślady pięły się prosto pod górę. Widać było, że i Paweł biegł. Już nie było go widać we mgle. Okrzyki wołających — bez odpowiedzi, nawet bez echa — wsiąkały bezgłośnie w mgłę, jak krople wody w watę. Wyrwa po stromiźnie piął się w górę żywo. Myślał, że dogoni Pawła. Naraz stąpnął na ruchomy pod warstwą śniegu głaz, runął w tył na wznak i stoczył się kilkadziesiąt metrów w dół. Podniósł się, począł piąć się znowu, ale teraz wiedział, że go już nie dogoni, jeśli tamten sam wrócić nie zechce. Wołał go, wołał z całych sił.

Ale Pawła wołał widocznie jakiś inny, cichszy może, jemu tylko słyszalny, ale stokroć potężniejszy głos.

Paweł nie wracał...

* * *

Gdy zbliżali się ku obozowi, zadymka podnosiła się znowu, wiatr wzmagał się z każdą chwilą, rósł, potężniał. Gdzieś od strony Cerveili zahuczał grzmot. Szła burza. Śnieżna, alpejska burza.

Zostawiwszy konia kucharzom Wyrwa meldował kapitanowi o zajściu. Cały barak, który w pierwszym momencie zahuczał krzykami radości i powitania, naraz przycichł, zamilkł, zmartwiał.

Głos Wyrwy, drżący niepokojem i żalem, mieszając francuskie i polskie wyrazy wyjaśniał rzecz, która wyjaśnić się nie dała.

— Poszedł, mon Dieu, poszedł... ja nic nie wiem, ja go wołałem... ja z początku nie mogłem puścić koń... je ne sais rien. On powiedział — jego coś woła... i poszedł. Rytowicz wołał i ja wołał. Melduję panie kapitanie, ja pójdę jeszcze go szukać.

— Dureń! — krzyknął kapitan — on dureń i wyście dureń. A Rytowicz co, bałwan!

— Panie kapitanie, ja byłem...

— Milczeć! Trzeba go było nie puścić. Na turystykę się wybrał! Ja go do paki!...

Barak milczał. Ostatnie słowa zadźwięczały przykrym zgrzytem. Nie chodziło o »pakę«. Chodziło o ludzkie życie. W ciszy, która nastała, słychać było tylko wiatr, który na drutach przytrzymujących dach baraku, wygwizdywał jakieś obłąkane, piskliwe melodie.

Kapitan chwilę milczał — a potem jak serią cekaemu począł rzucać rozkazy:

— Porucznicy Korowicz, Racięski, podchorążowie Konicz, Wilski, Radoń, kapral Czerski, bombardier Gozdawa, strzelcy Kraśnik, Czekalski — przygotować się do wymarszu. Zbiórka za trzy minuty. Wykonać! — Strzelec Wyrwa prowadzi.

— A ja panie kapitanie? — zapytał Rytowicz.

— Reszta na ochotnika. Kto chce.

Poszło ich szesnastu. Przez śnieg, zaspy i kurzawę, w mgłę i niewiadome — ratować towarzysza — który, dotąd obcy i prawie przez nich niezauważony, naraz gdy odszedł stał się bardziej bliski. I naraz uświadomili sobie, że go prawie nikt nie znał bliżej.

Paweł Czerny. Bombardier Paweł Czerny. Cichy, spokojny, karny, zadumany. Nie grał w karty, nie pił, czasem z Wyrwą grał w szachy. Uważnie, ze skupieniem. Ale nieraz w najlepszej sytuacji robił błąd karygodny i w szybkim tempie przegrywał partię, albo też — nie kończąc jej — poddawał się. I nigdy nie dostawał listów. Czy miał rodzinę?

Ach, jakże mało o nim wiedzieli... Nazwisko, imię, stopień, wiek. Tyle, ile akurat trzeba na krzyż na grobie.

Paweł Czerny — bombardier.

A przecież żył z nimi, wśród nich, prawie już trzy lata.

Nazwisko, imię, stopień... A ktoś inny znał go lepiej — i wołał go. W górach, we mgle, w zawiei... po śmierć.

Poszli. Myśleli — ślady znajdą. Ale wiatr je bezlitośnie zawiał. Odszukali tylko miejsce. Wyrwa je wskazał, znalazł ślad, gdzie się stoczył. Ale śladu Czernego już nie było.

Szli tyralierą ciasną, zbliska, żeby się nie pogubić.

Szli dwieście, pięćset, osiemset metrów.

Wołali... napróżno.

Kapitan wobec nieomylnej powagi sytuacji zapobiegliwością i energią chciał naprawić pierwszy wybuch złości i zatrzeć złe wrażenie. Ochrypł od rozkazów i wołania. Już wołał nie jak dowódca, ale jak kolega, jak towarzysz, jak brat, wołał jak inni: Paweł!! Paweł!!!

Wołali pojedynczo i chórem: Paweł! Paweł!

Teraz, to imię tak rzadko wymawiane w baraku, a i tam w mieście, na studiach, w obozie akademickim, teraz mnożyło się, wielokrotniało, nabrzmiewało i rosło siłą kilkunastu piersi...

Paweł! Paweł!!!

Napróżno.

* * *

Wrócili, gdy mgła z białej stawać się poczynała szara, a z szarej prawie czarna.

Wrócili. Musieli wrócić. Sami mogli w górach poginąć.

W baraku było jasno, była nafta i ogień w piecu trzaskał, i prowiant był, i poczta...

Tylko Pawła nie było. Więc było cicho.

Nikt nie grał w brydża, nikt nie zaczynał »dziewiątego wała«, nawet poker nie ciągnął, mimo że z pocztą przyszedł dekadowy żołd.

Kapitan najpierw chodził po baraku milczący i chmurny, potem siadł w swym zwykłym kącie i zasłonił się chmurą fajkowego dymu. Inni siedzieli na pryczach, udawali że śpią, kilku czytało.

O dziewiątej odbył się apel i modlitwa.

Przy apelu kapral Oborski meldował:

— Panie kapitanie, melduję działon drugi, stan siedmiu, obecnych sześciu, nieobecny bombardier Czerny — nieusprawiedliwiony.

We wzorowym studenckim obozie pracy pod komendą kapitana Żelskiego zdarzyło się po raz pierwszy, że na apelu wieczornym był jeden żołnierz nieobecny i — nieusprawiedliwiony.

Bombardier Paweł Czerny.

Obóz czekał na rozkaz: »Zapisać do raportu karnego« — ale słowa te dziś nie padły.

Wkrótce wszyscy spali. Ale naprawdę nie spał nikt. Po sześciu dniach nicnierobienia (oprócz kart i noszenia wody ze strumyka) wszyscy byli wyspani. A może niektórym przeszkadzało światło, którego kapitan gasić nie kazał, żeby okna były jasne...

Wszyscy myśleli:

— Co też ten Czerny... Chyzia dostał? Internowanie mu się na mózg rzuciło?... W taką mgłę pójść, w taką zawieję, w górach, w Alpach... Bo żeby to chociaż w naszych Karpatach, toby może nie zginął.

Też góry, ale swoje, nieobce...

I z tym wołaniem... Wariat chyba.

Kto go wołał?!...

A może, może kiedyś, gdzieś tam, w tamtych naszych górach zostawił kogoś, kto go wołał, może brat, może przyjaciel, a może — dziewczyna...

A on nie poszedł, nie pośpieszył z pomocą... I teraz go woła...

A może mu było tęskno do swoich... Może tam w kraju ktoś go woła...

A matka... czy on miał matkę? Czy miał matkę? A może to ona gdzieś w Oświęcimiu, czy jakimś sowieckim łagrze w chwili śmierci wołała syna?...

Ach, jacyśmy sobie obcy, choć tacy bliscy. Znamy zapach swego potu, wiemy kto i jak chrapie, jak gra w karty czy szachy, jaki pali tytoń, ile ma długów w kantynie — a nie wiemy, czy on miał matkę. I właściwie nic o sobie nie wiemy. A jesteśmy razem lata całe...

Wiatr zimny, obcy, alpejski wiatr, pędząc tumany mgły, łomotał o drzwi, o okna, gwizdał na drutach przytrzymujących dach, zawodził w kominie, syczał zjadliwie w szczelinach baraku, skamlał i jęczał.

Długa, koszmarna noc wlokła się jak wieki... A prycza Czernego patrzyła w mroku oskarżycielskim wyrzutem swojej pustki.

Rano kapitan Żelski nie z głębokiego przekonania o skuteczności, ale z konieczności działania, czynienia czegokolwiek, kazał z magazynu wydać trzydzieści petard używanych do rozsadzania skał przy budowie drogi i strzelać w regularnych odstępach, żeby zbłąkanemu wskazać kierunek obozu.

Chodzić, szukać nie było sensu. Oczywistym bowiem było dla każdego, że niemożliwością jest go znaleźć.

Trzej inni żołnierze sprowadzili na dół konie, które nocowały w szopie przy kuchni, i zanieśli meldunek o zaginionym. Formalnie mogło to wyglądać tak, że Czerny uciekł z obozu, bo granica włoska blisko... Osiem kilometrów w linii prostej.

Osiem kilometrów w górach, na wysokości 2500 metrów — i w czasie śnieżnej burzy i mgły...

Na drugi dzień wystrzelono jeszcze ze dwadzieścia petard. Można strzelać — nie będą już potrzebne — roboty w tym roku na Rödi-Pass nie będzie.

Trzeciego dnia po wypadku wróciło słońce i świeciło cały dzień. Z dołu przyszły znowu konie i rozkaz przygotowania się do zejścia. Obóz się likwidował.

Porucznik Racięski otrzymał rozkaz »zlikwidowania« sprawy zaginionego bombardiera: zarobioną i niepodjętą dniówkę wraz z ostatnim żołdem przesłać do dowództwa dywizji na cele dobroczynne, dokumenty i listy zalakować w kopercie i przesłać poselstwu w Bernie, sorty mundurowe zdać do magazynu.

Ostatnim na Rödi-Pass rozkazem dziennym bombardier Paweł Czerny został skreślony z listy żołnierzy obozu z zaznaczeniem: »zaginiony w górach«.

Cały dzień budowano z desek sanie, pakowano rzeczy, narzędzia pracy, sprzęt kuchenny, magazyn.

Pobudkę zarządził kapitan o świcie. Zjedzono szybko śniadanie, oczyszczono i uporządkowano barak, ustawiono kolumnę sań i sanek na drodze.

Padła komenda:

— Baczność! Na prawo patrz!

Po maszcie wolno spływa polska flaga, która tu wśród alpejskich szczytów powiewała nad gromadką żołnierzy-tułaczy.

Maszerować!...

Obóz rusza.

Kucharz Wawrzon zabija gwoździem drzwi od kuchni, ale nie za mocno. Tyle, by trzymało. On wie swoje. Gusła nie gusła, zabobon nie zabobon (a może nadzieja?...) — a głodnemu zbłąkanemu ten bochenek chleba, co na stole z kawałkiem słoniny się ostał, zawszeć przydać się może...

Wolno, z trudem zjeżdżają sanie. Płozy są wąskie, a śniegu na metr. Słońce świeci, niektórzy rozbierają się do koszul, a i do naga nawet. Cóż, że śnieg. Toć wrzesień dopiero się zaczyna.

Działon za działonem, sanie za sańmi, oficerowie, podchorążowie, szeregowi razem ciągną, razem pchają swe bagaże i swój żołnierski, tułaczy, twardy los.

Dalej, dalej...

Już minęli drugi zakręt od obozu, mijają stok masywu Rödi. Jeden żołnierz jeszcze się zatrzymał. Poprawia sobie owijacz, który mu się »przypadkiem« rozwinął. Potem prostuje się i chwilę patrzy gdzieś w dal, w przestrzeń. Jakby coś mówił, jakby kogoś żegnał. A potem patrzy na nieskalaną, równą, gładką biel śniegu. Pochyla się i szerokim, zdecydowanym gestem robi dłonią na tej bieli znak krzyża. To Wyrwa — który jest Żydem.

Spojrzał raz jeszcze na góry, na barak widniejący w dali i pobiegł za innymi, ku dolinom, ku nowej pracy i innemu życiu. A tam, na przełęczy, został tylko nietrwały krzyż na śniegu, który wnet przyprószy, zasypie i unicestwi wysokogórska alpejska śnieżyca.



PRZEGLĄD WYDAWNICZY

Dr STANISŁAW LIBEREK, *Les échanges commerciaux entre la Suisse et la Pologne 1935 - 1939*, Editeur: Office suisse d'expansion commerciale, Lausanne. Tiré des „Informations économiques“ Nos 7 à 10, février et mars 1945. Str. 42 + 2 nlb.

Broszura Dr St. Liberka, aczkolwiek poświęcona głównie przedstawieniu stosunków handlowych między obu krajami na przestrzeni pięciolecia poprzedzającego wybuch wojny, zawiera na wstępie ciekawy szkic historyczny kształtowania się w przeszłości obustronnej wymiany gospodarczej. Dziedzina ta naogół mało znana i dotąd bodaj nieopracowana powinna zainteresować bliżej młodych ekonomistów polskich, przebywających w Szwajcarii. W dalszym ciągu rozprawy znajdujemy źródłowe dane statystyczne, które dają przegląd głównych pozycyj wywozu i przywozu towarów oraz bilansu handlowego między Szwajcarią a Polską. Całość zamyka trafna konkluzja, iż różnice struktury gospodarczej obu krajów, które nadają im charakter uzupełniający się, stwarzają najlepsze warunki dla ożywienia i zacieśnienia w przyszłości współpracy gospodarczej między Polską i Szwajcarią.

I. C.

Działalność wydawnicza 2 Korpusu
(Armia Polska na Wschodzie)

Oddział Propagandy i Kultury Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie może już dzisiaj pochlubić się pokaźnym dorobkiem wydawniczym. Liczy on bowiem z górą 70 pozycyj. Zakresem swym obejmuje przede wszystkim polską twórczość wojenną. Ponadto jednak znajdujemy wśród wydawnictw przedruki wydań przedwojennych.

Nie mogąc dla braku miejsca omówić szerzej poszczególnych książek — ograniczamy się do suchej bibliograficznej notatki. Ponieważ nie dysponujemy niestety wszystkimi egzemplarzami wydawnictwa — niektóre pozycje zmuszeni byliśmy powtórzyć z wykazu wydawniczego.

Nr 1 R. PIESTRZYŃSKI, „Konstytucja R. P.“ cena 30 lirów,

Nr 2 R. WRAGA, „Strategia i granice“, cena 30 lirów.

Nr 3 ŁUKASZEWIGZ, „Z doświadczeń przeszłości“, cena 12 lirów.

Nr 4 J. PIŁSUDSKI- „Rok 1863“, cena 20 lirów.

Nr 5 J. PILATOWA, „Polskim szlakiem“ część II, cena 100 lirów. „Na ojczystej ziemi“.

Nr 6 J. PILATOWA, „Polskim szlakiem“ część III. „Dojdziemy“, Palestyna 1944, str. 296.
Zbiór opowiadań, poezyj, artykułów ujęty w trzy cykle: Walki na ziemiach Polski, U sąsiadów i wśród sprzymierzeńców, Na Wschodzie, cena 140 lirów.

Nr 7 J. ŁUŻYC, „Wrześniowym szlakiem“ cena 100 lirów.

Nr 8 „Skrócony podręcznik języka włoskiego“ cena 25 lirów.

Nr 9 SANDELEWSKI i DYLĄG, „W marszu“ cena 50 lirów.

Nr 10 „Kalendarz Żołnierza Polskiego A.P.W.“ cena 20 lirów.

Nr 11 Z. KOSSAK - SZCZUCKA, „Legnickie pole“, cena 100 lirów.

Nr 12 „Przewodnik po Włoszech“, Rzym, Bari Neapol, Taranto — 1944, str. 48 + 1 mapa Rzymu.
Opis krajoznawczy i omówienie najważniejszych zabytków. Cena 20 lirów.

Nr 13 „Modlitewnik dla greko - katolików“, Jeruzalem 1944, str. 156 + 4 nlb Cena 100 lirów.

Nr 14 „Album z pobytu Naczelnego Wodza na Wschodzie“, cena 40 lirów.

Nr 15 Dr Wiktor SZYRYŃSKI, „W laboratorium radości życia“, Palestyna 1944, str. 115, cena 35 lirów.
Krótki zarys higieny psychicznej ze szczególnym uwzględnieniem życia wojskowego.

Nr 16 „Azja i Afryka“, oprac. Jan BIELATOWICZ, Palestyna 1944, str. 352, cena 100 lirów.
Analogia poezji polskiej na Środkowym Wschodzie.

Nr 17 „Album Monte Cassino“, oprac. Z. TURKIEWICZ, cena 220 lirów.

Nr 18 CZAPSKI Józef, „Wspomnienia starobielskie“, wyd. II, 1944, str. 63, cena 50 lirów.

Nr 19 Bolesław KOBRZYŃSKI, „Przewodnik serdeczny“, Rzym 1944, str. 68, cena 40 lirów.
Zbiór wierszy z przedmową J. BIELATOWICZA.

Nr 20 Adolf BOCHEŃSKI, „Artykuły zebrane“, Włochy 1944, str. 154, cena 50 lirów.
Przedruk artykułów, napisanych przez autora w latach 1941 — 1944 w czasopismach: „Nasze Drogi“, „Przy kierownicy w Tobruku“ i w „Orle Białym“.

Nr 21 Janusz WEDOW, „Wracające żagle“, Rzym 1944, str. 48, cena 40 lirów.
Zbiór liryków.

Nr 22 Jan OLECHOWSKI, „Prostą jak sosna wyrosnąć“, Italia 1944, str. 36 + 1 nlb., cena 40 lirów.
Zbiór liryków, pisanych w Iraku, Palestynie, Egipcie i Włoszech w latach 1942 — 1944, z przedmową Wł. Sznarbachowskiego.

Nr 23 J. PILATOWA, „Polskim szlakiem“, t.I, cena 60 lirów.

Nr 24 Mieczysław GRYDZEWSKI, „150-lecie rzezi Pragi“, Włochy 1945, str. 34, cena 10 lirów.
Szkic historyczny ze wstępem.

Nr 25 Andrzej BRZOZA, „O powołaniu naszego pokolenia“, Włochy 1945, str, 31, cena 10 lirów.

Nr 26 Józef ŻYWINA, „Rozmowa z księżycem“, Roma 1945, str. 51, cena 40 lirów.

Nr 27 Pamiętniki Michała Mikołajewicza Murawiewa „Wieszatela“ 1863 — 1865, Włochy 1945, str. 148, cena 55 lirów.
Tłumaczenie z oryginału rosyjskiego J. Cz... z przedmową St. Tarnowskiego.

Nr 28 Kazimierz WIERZYŃSKI, „Wolność tragiczna“, Rzym 1945, str. 65 + 2 nlb., cena 60 lirów.
Z przedmową Gustawa Herlinga - Grudzińskiego.

Nr 29 Wacław BERENT, „Nurt“ opowieści biograficzne: „Pogrobowcy“ Rzym 1945, str. 224, cena 100 lirów.

Nr 30 Album fotogr. „Monte Cassino“ W. Ostrowskiego. . . . cena 220 lirów.

Nr 31 Adam PRAGIER, „Cele wojenne Polski“, Włochy 1945, str. 176, cena 75 lirów.
Autor omawia stosunek Polski do Niemiec i Z.S.R.R. oraz zastanawia się nad zagadnieniem Europy środkowowschodniej i powszechnej organizacji międzynarodowej.

Nr 32 Melchior WAŃKOWICZ, „Dzieje rodziny Korzeniewskich“, Włochy 1945, str. 77, cena 50 lirów.
Autor, posiłkując się częściowo materiałem pamiętnikarskim, kreśli historię rodziny polskiej, wysiedlonej do Rosji.

Nr 33 Ryszard WRAGA, „O rewolucji“, Rzym 1945, str. 55, cena 40 lirów.
Po przez analizę istoty rewolucji autor dochodzi do wniosku: „Rewolucja w Polsce“ — jeśli nie ma przynieść zagłady dla Polski i narodu polskiego — musi być europejska z ducha i idei, a polska w treści i formie“.

Nr 34 Ryszard WRAGA, „Wojna sowiecko-niemiecka 1941 — 1945. Włochy 1945, str. 161 + 3 nlb., cena 65 lirów.
Zbiór artykułów drukowanych i niedrukowanych w latach 1941 — 1944.

Nr 35 Joseph Conrad (Józef Konrad Korzeniowski), „Tajfun“, przedkład J. B. Rychlińskiego, Rzym 1945, str. 100, cena 60 lirów.

Nr 36 Marek ŚWIĘCICKI, „Czerwone diabły“ pod Arnhem, Rzym 1945, str. 71, cena 60 litrów.

Nr 37 Bernard ANDREUS, „Polska a kapitalistyczna interwencja w stosunku do Z. S. R. R. 1918 — 1920“, Rzym 1945, str. 40, cena 40 lirów.

Nr 38 Stefan Tadeusz NORWID, „Kraj bez Quislinga“, Rzym 1945, str. 298, cena 100 lirów.

Nr 39 Juliusz KADEN - BANDROWSKI, „W cieniu zapomnianej olszyny“ Z cyklu „Miasto mojej matki“, Rzym 1945, str. 110 + 2 nlb., cena 75 lirów.

Nr 40 Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI, „Żywi i umarli“, Szkice literackie, Rzym 1945, str. 78 + 2 nlb., cena 40 lirów.
Szkice poświęcone K. L. Konińskiemu, Irzykowskiemu, Ludwikowi Fryde, Łobodowskiemu, Broniewskiemu, Berentowi i Korzeniowskiemu — zaopatrzył wstępem Józef CZAPSKI.

Nr 41 J. GÓRECKI, „Kamienie na szaniec“, opowiadanie o „Wojtku i Czarnym“, Włochy 1945, str. 64, cena 50 lirów.
Przedruk książki, wydanej w konspiracyjnej drukarni w Warszawie w czasie okupacji niemieckiej.

Nr 42 Hermina NAGLEROWA, „Ludzie sponiewierani“, Rzym 1945, str. 100, cena 60 lirów.

Nr 43 Wacław SOLSKI, „Opowieści o Szwejku“, Rzym 1945, str. 87 + 1 nlb., cena 80 lirów.
Przedruk z londyńskich „Wiadomości polskich“ i innych czasopism.

(Dokończenie w następn. num.

Adres Redakcji: Fribourg, Case postale 247, Suisse — Konto czekowe Nr Va 4 Buchdruckerei Vogt-Schild A.G. Solothurn. Na odwrocie odcinka należy zaznaczyć: „Horyzonty“.
Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

Editeur: Vérène Troller. *Komitet redakcyjny:* Eugeniusz Lukas, Dr Bronisław Miazgowski.
Administracja: Marian Respond.

 Drukarnia Vogt-Schild S. A. Soleure, Suisse.
Klisze w wykonaniu Zakładów Graficznych Pfisterer S. A. Bern. Balderstrasse 30, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

900,-

Cena:
Prix: **1.20 Frs.**

Za granicą:
A l'étranger: **1.50 Frs.**